W numerze: Kurhan mamusi ● Jeszcze raz o Beatlesach ● Stuletnia Alicja w Krainie Czarów ● Serce – część wymienna? ● Jeden dzień w sierpniu ● Hitchcock o piraniach ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

odgłosu

Nr 28 (344)
18. VII. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KULISY wielkiej GRY

Stawka była wysoka. Najwyższa. Być albo nie być; przegrać — to wyskoczyć z ligi!

Dwadzieścia pięć tysięcy widzów trzyma kciuki w zapoconych dłoniach. Na zwycięstwo. Dobry los. Na szczęście!

Ale wiatr jest fałszywy. W osiemdziesiątej minucie gry, przy stanie 2:2, przy ogłuszającym ryku widowni — Waligóra minął Suskiego i dalekim, płaskim przerzutem oddał piłkę Ptaszyńskiemu ze skrzydła. Ten Ptak był w Zawiszy na rezerwie i grał od połowy spotkania. Miał tremę. Miotał się nieprzytomnie na krawędzi boiska jakby całkiem stracił głowę, ale kiedy zderzył się z Walczakiem, piłka — dobra piłka jest okrągła — więc ta dobra, okrągła piłka tak mu wyszła przypadkiem spod nogi, wyskoczyła raczej, wyprysła, że trafiła w nieszczęsnego Szefera. Na polu karnym. W rękę!

Podnosił ją gestem zrozpaczonym, obronnym; zakryć pewnie pragnął oczy; podniósł ją w chwili, gdy sędzia gwizdał, a oburzony stadion protestował: „Kalosz!!!" „Kalosz!" – wrzeszczał stadion. – Zbój! Stronniczy! Bandyta!!!" Ale ręka Szefera tkwiła w górze, mimowolnie świadczyła za grzechem.

Rzut karny.

. . . .

Stadion znieruchomiał.

W parnym, letnim powietrzu zaległa cisza...

Potem środkowy Zawiszy uszykował się do strzału. Wziął krótki rozbieg i do przodu szedł jak baletnica – lekko, z gracją i rutyną – jakby odtworzenie tej figury było zwykłą formalnością; a w ostatniej chwili zrobił zwód – taki szybki, oszukańczy zakręt ciałem – i wówczas Wilczyński wyskoczył w powietrze, wprost na lewy słupek bramki, zaś piłka potoczyła się w prawo...

W osiemdziesiątej pierwszej minucie gry zły los łodzian spełnił się do końca. ŁKS opuszcza ekstraklasę, osieraca milionowe

Dalszy ciąg na str. 4

JAN BĄBIŃSKI

FABRYCZNE KONSYLIUM

Mały pokoik, spartańsko umeblowany, do którego wchodzi się wprost z dziedzińca.

Lądujesz przed obliczem związkowego działacza. Jest nią koleżanka Rz..., która przyjmuje właśnie pierwszą w tym dniu interesantkę. Robotnica jest młoda, zwinna, o z chłopska chytrym spojrzeniu. Zaraz przysiadła na krzesełku i z oczami w słup, uderzyła na lament. Troje dzieciaków na głowie, a tu nie ma co do garnka wrzucić, nie ma czym w piecu napalić, nie ma za co wykupić lekarstwa w aptece.

Czyżby mi się przywidziało?

Zamiast wyrazu współczucia ujrzałem na twarzy koleżanki Rz. z trudem hamowany gniew.

– Słuchaj, mam już tego dosyć – zwróciła się do młodej niewiasty. – Daliśmy ci 300 złotych, Okręg dołożył 700 i co? Cały tydzień nie pokazywałaś się przy krosnach. Poszłam po ciebie, w domu leżał twój chłopczyk brudny jak nieboskie stworzenie, bo przez dwa tygodnie nikt go nie mył. Zabrałam go do rady, wypucowałam tu pod kranem. Ja tobie mówię Szwigu... weź się do roboty, bo będzie źle, twój chłopczyk już kradnie...

Scena wryła mi się w pamięć ze względu na los męża tej rzeźkiej i bystrej interesantki.

Wiem jednak aż nadto dobrze z wędrówek po łódzkich fabrykach, że dla związkowców załatwianie takich i podobnych spraw to chleb powszedni. Ileż to razy do rady wlatuje roztrzęsiona niewiasta i krzyczy od progu, żeby natychmiast ściągnąć z magazynu jej męża, bo zaszył się tam z jakąś lafiryndą. Inną mężowi kwasem wypaliła oczy. Gdy miano zwolnić za brak dyscypliny w pracy, zakręciła się jak fryga i przyniosła co trzeba.

– Jestem kobietą ciężarną, spróbujcie mnie ruszyć to pójdę do sądu. – zagroziła pokazując zaświadczenie od lekarza.

Nie ruszono.

Jeśli w gabinetach dyrekcji skupiają się sprawy produkcji, to w radach sprawy ludzkie są najważniejsze. Są one małe i duże, zawsze jednak ważne, bo fabryka jest nie tylko terenem wytwarzania dóbr materialnych. To również miejsce ludzkich sukcesów i porażek, spełnionych ambicji, niepowodzeń, zawodów i tego wszystkiego co psycholodzy określają jako frustrację. Dobre lub złe stosunki w pracy znaczą dziś więcej niż kiedykolwiek. Decydują o samopoczuciu, o zdrowiu fizycznym, przede wszystkim o równowadze psychicznej.

Bogiem a prawdą, nie wolno lekceważyć niczego co stoi w bezpośrednim związku z prawem efektu.

Nawet drobnej z pozoru sprawy referenta, który zaczął chudnąć, przygarbił się, w ogóle chodził jak struty. Od kilkunastu lat nie awansował, nie posunął się nawet o milimetr na służbowej drabinie. Jak zarabiał swoje 1900 złotych, tak zarabia po dziś dzień. Tymczasem do wydziału zaopatrzenia wielkiego kombinatu bawełnianego przychodzą całkiem nowi ludzie i od razu łapią po 2200 złotych. Znajomy mu poradził. – Bierz frajerze na skorkowacenie, bo osiwiejesz do reszty... Ale referent nie potrafił obrosnąć w twardą skórę korkową i zawoławszy z emfazą – tu mi wisi – wziąć się za inną robotę na boku. Gdy był bliski załamania, poszedł do rady. Skarżył się na kogoś pierwszy raz w życiu. Sprawę zbadano. Nic nadzwyczajnego. Kierownik wydziału to taki kogut za biurkiem o jakim pisał już Afanasjew. Tyle, że ten kogut pozował na lwa i ryczał dla samej satysfakcji głośnego ryczenia. Na podwładnych ryczał, zwłaszcza na referenta, którego nienawidził.

Więc jakże, zdjąć kierownika z roboty?

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Mimo okresu urlopowego — nie można uskarżać się na brak wydarzeń międzynarodowych. Niezmiennie, od pewnego czasu w centrum zainteresowania opinii publicznej utrzymują się: Wietnam, Algieria, Francja. I tym razem zmuszeni więc jesteśmy poświęcić nieco uwagi tym właśnie ośrodkom.

Wietnam w ostatnich dniach stał się obiektem nowej serii zabiegów dyplomatycznych. Wprawdzie po tzw. „misji Commonwealthu", której przewodniczył stronniczy przecież w konflikcie Wilson, nie można oczekiwać niczego rewelacyjnego — odnotujmy jednak, że jej wysłannik — brytyjski sekretarz parlamentarny, Harold Davies gościł w Hanoi.

Ożywioną działalność wykazuje sekretarz generalny ONZ — U Thant, który w czasie paryskiej wizyty zapowiedział „propozycje ustępstw". „Za parę dni — oświadczył on — złożę na ten temat odpowiednią deklarację".

Na tle tych zabiegów — pewnym zaskoczeniem była dymisja ambasadora USA w Sajgonie — gen. Taylora, którego zastąpić ma Cabot Lodge, pełniący już tę funkcję uprzednio.

Czy oznacza to coś nowego w polityce amerykańskiej — trudno przewidzieć. Niektórzy skłonni są przypuszczać, że w ten sposób „wzmocniona zostanie polityka wietnamska" Stanów Zjednoczonych.

Niemal równocześnie z dymisją Taylora, podyktowaną podobno „względami osobistymi", rozeszły się pogłoski o możliwości nowego przewrotu w Sajgonie. Miał rację jeden z komentatorów, kiedy proponował ponumerowanie szefów rządu w Południowym Wietnamie, jak zawodników. I raczej doprawdy trudno zorientować się kto kiedy i po kim...

Przypomnijmy tylko, że od czasu upadku reżimu Diema (listopad 1963) rządy sajgońskie utrzymywały się średnio trzy miesiące. Oczywiście, owa niestabilność jest dziełem Stanów Zjednoczonych, które bądź same obalają, bądź pozwalają obalać każdy rząd, który niezbyt stanowczo realizuje ich politykę, opartą na sile lub też wyraża choćby cień wątpliwości czy na tej drodze można cokolwiek osiągnąć.

Przywykliśmy już do tego „zwariowanego filmu południowowietnamskiego"...

Innym wydarzeniem tygodnia była decyzja rządu francuskiego o odwołaniu („zaproszenia do powrotu") swego ambasadora przy Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej. Tak więc Francja nie będzie w najbliższym czasie brała udziału w pracach Rady Ministrów Wspólnego Rynku, Euratomu i Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali.

A więc zapowiedź polityki „pustego fotela" w tych ponadnarodowych organizacjach lub dosadniej — ich bojkotu. EWG wkroczyła zatem w bardzo poważny kryzys, „stawiający — zacytujemy tu biuletyn FDP — stopniowo całą wspólnotę gospodarczą pod znakiem zapytania"

Jakie są przyczyny decyzji Francji, która w NRF wywołała niezwykle alarmistyczne komentarze? Wydaje się, że obawa, aby procesy integracji gospodarczej samoistnie nie przekształciły się w procesy integracji politycznej.

Odtąd Francja będzie nawiązywała dialog ze swoimi partnerami z EWG nie poprzez instancje „Małej Europy" lecz w kontaktach bilateralnych. Ta zmiana formy ma następującą wymowę: nie chcemy Europy ponadnarodowej, lecz Europy, złożonej z poszczególnych państw.

Nowe „mocne uderzenie" Francji godzi głównie w NRF i w obecnym stadium kampanii wyborczej rządowi Erharda jest bardzo nie na rękę. Tam też — w Bonn, kolejny krok de Gaulle'a odbił się najgłośniejszym echem.

Po Wietnamie i Francji — powrócimy do Algierii. Pisze: „powrócimy" ponieważ dwa poprzednie komentarze poświęcone były głównie wydarzeniom algierskim.

Z tego frontu — jeśli się można tak wyrazić — odnotować trzeba dwa fakty: ujawnienie składu 26-osobowej Rady Rewolucyjnej i wypowiedź Bumediena z okazji trzeciej rocznicy niepodległości Algierii.

W składzie Rady, która przez ponad 2 tygodnie po zamachu pozostawała anonimową, uderza, że poza czterema pięcioma nazwiskami, nie ma ludzi znanych, reprezentatywnych dla tendencji lewicowych, czy prawicowych. Jest natomiast rzeczą znamienną, że zdecydowana większość członków Rady, bo aż 24, to wojskowi. Logiczne następstwo przewrotu!

Skład Rady — jak to wynika z powyższego — nie może więc dawać żadnej szczegółowszej orientacji co do linii politycznej nowych władz.

Z tym większym zainteresowaniem wysłuchano kolejnego wystąpienia Bumediena, z okazji składania życzeń przez korpus dyplomatyczny, akredytowany w Algierze.

W przemówieniu tym dominowała nuta utrzymania, bez żadnych zmian dotychczasowej polityki zagranicznej — Algieria — stwierdził Bumedien — nie zaniedba niczego, co mogłoby przyczynić się do konsolidacji stosunków i owocnej współpracy z bratnimi i zaprzyjaźnionymi krajami trzeciego świata oraz państwami socjalistycznymi.

Tyle oficjalna wypowiedź. A praktyka? Na tę oczywiście za wcześnie.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA
4 lipca

■ Rząd DRW powołał „Brygady młodych ochotników do walki z agresją USA, o ocalenie narodowe". Celem brygad będzie praca związana z usuwaniem zniszczeń po nalotach amerykańskich oraz działalność na rzecz umocnienia obronności.

■ Ambasador Francji w Waszyngtonie Herve Alphend przemawiając na uroczystości zorganizowanej przez „Fundację pamięci Thomasa Jeffersona" z okazji amerykańskiego Święta Niepodległości skrytykował ostro zasadę wszelkiej interwencji na obcym terytorium dokonywanej w imię walki przeciwko „międzynarodowemu komunizmowi".

■ Brazylijski rząd generała Branco zamierza anulować decyzję b. prezydenta Goularta o nacjonalizacji prywatnych towarzystw naftowych.

PONIEDZIAŁEK
5 lipca

■ Jeden z teherańskich dzienników zamieścił informację, że Związek Radziecki zaproponował Iranowi budowę kompleksu zakładów przemysłowych w zamian za gaz ziemny. Kompleks przemysłowy obejmowałby stalownię i fabrykę narzędzi, fabrykę traktorów i maszyn rolniczych.

■ Deputowana z Labour Party, Renee Short, przesłała list do brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, wyrażając w nim zaniepokojenie stałymi wysiłkami podejmowanymi przez władze bońskie w kierunku wywołania histerii wojennej w Niemczech zachodnich. „Wielu z nas w Izbie Gmin — pisze Renee Short — jest poważnie zaniepokojonych stałymi wysiłkami w kierunku wywołania histerii wojennej wśród narodu niemieckiego i narzucenia mu przekonania, że naród niemiecki jest zagrożony przez taki lub inny kraj, oraz że w związku z tym wybuch wojny jest nieuchronny".

WTOREK
6 lipca

■ Agencja AFP donosi z Waszyngtonu, że Stany Zjednoczone przygotowują się do znacznego ochłodzenia stosunków amerykańsko-radzieckich w ciągu nadchodzących miesięcy. Uważa się to za nieuniknione następstwo stopniowania akcji wojskowej w Wietnamie.

■ Agencja Nowych Chin pisze w komentarzu poświęconym wizycie marszałka Tito w ZSRR, iż przyjęcie zgotowane prezydentowi Jugosławii było takie „jakiego nie zgotowano żadnemu szefowi państwa, czy rządu obcego w ZSRR" od chwili ustąpienia Chruszczowa.

■ „Obecnie umarł socjalizm werbalny — zacznie się kształtowanie gospodarki socjalistycznej".

Płk Bumedien
Przewodniczący Rady Rewolucyjnej Algierii

■ **Wierzę, że dobre czyny przynoszą dobre skutki. Tylko że nie wiem, kiedy...**
Lal Bahadur Shastri

ŚRODA
7 lipca

■ Największy związek zawodowy W. Brytanii — Związek Zawodowy Transportowców i Robotników Niewykwalifikowanych — podjął uchwałę, w której odmawia współpracy z rządem premiera Wilsona w sprawie dobrowolnej polityki kontroli cen i płac.

■ AFP donosi z Moskwy: „Całkowite i definitywne zaprzestanie amerykańskich nalotów na północny Wietnam, a nie po prostu ich chwilowe przerwanie, tak jak to miało miejsce w ubiegłym miesiącu, stanowi, zdaniem rządu radzieckiego — minimalny warunek ewentualnego odprężenia.

■ Wydobycie węgla brunatnego w NRD stanowi 35 proc. wydobycia światowego. W 1964 roku wydobyto w NRD 265 milionów ton węgla

■ **My, Europejczycy, zawsze budowaliśmy katedry. Teraz mamy odbudować Jedność Europejską. To dopiero będzie katedra.**
De Gaulle

CZWARTEK
8 lipca

■ Przewodniczący KC KP Indonezji Aidit o wydarzeniach algierskich: „Rozwój wypadków w Algierii wskazuje, iż wydarzenia z 19 czerwca były nowym przejawem rewolucyjnym ze strony narodu algierskiego".

■ Węgierski miesięcznik „Partelet" publikuje artykuł poświęcony problemowi informacji prasowej. Doświadczenia ostatnich miesięcy wskazują — czytamy w artykule — iż społeczeństwo nie jest informowane w sposób całkowicie zadowalający. Przez dłuższy czas członkowie partii np. nie byli informowani o dyskusji toczącej się w łonie międzynarodowego ruchu komunistycznego. Poszczególne ministerstwa i centralne zarządy niejednokrotnie zabraniają publikowania informacji zarówno w sprawach ważnych, jak i mniej ważnych. Należy usuwać — konkluduje autor — hamujące informacje przesady i ograniczenia, wynikające w większości wypadków z obaw przed społeczeństwem, z braku zaufania do niego.

■ Pekiński dziennik „Żenminżibao" ostrzega Syjam przed konsekwencjami udzielania Stanom Zjednoczonym pomocy w wojnie wietnamskiej. „Rząd chiński ostrzega władze syjamskie, że jeśli zechcą wiązać swe losy z awanturniczymi poczynaniami Stanów Zjednoczonych, to niewątpliwie padną w końcu same ofiarą amerykańskiego imperializmu".

PIĄTEK
9 lipca

■ Sekretarz stanu Rusk oświadczył w wywiadzie telewizyjnym, że obecnie studiowana jest „druga pauza", dłuższa niż pierwsza w bombardowaniach powietrznych Wietnamu północnego"

■ Agencja Nowych Chin informuje, że Organizacja Młodzieżowa Frontu Wyzwolenia Narodowego Algierii potępiła komunikat Stałej Komisji Międzynarodowego Komitetu Przygotowawczego IX Festiwalu Młodzieży i Studentów za „wtrącanie się do spraw wewnętrznych Algierii i brak szacunku dla narodu algierskiego". Stała Komisja podjęła 24 czerwca decyzję o opuszczeniu Algierii i zaniechaniu prac przygotowawczych do festiwalu w związku z wydarzeniami z 19 czerwca br.

Szuler. („Die Welt").

■ **Dyplomacja to sztuka przemilczenia za pomocą stu słów tego, co można by wyrazić jednym słowem...**
Saint-John Perse

■ W omówieniu dotychczasowych wyników eksperymentu wprowadzonego w dwóch zakładach przemysłu lekkiego w Związku Radzieckim, które wykonują wyroby konfekcyjne bezpośrednio na zamówienie sklepów, dziennik „Trud" pisze, iż obecnie wszyscy już nie mają wątpliwości, że bezpośrednia więź między zakładem-wytwórcą a sklepem-odbiorcą ma perspektywę dalszego rozwoju i jest wygodniejsza z punktu widzenia gospodarki.

SOBOTA
10 lipca

■ W Waszyngtonie omawiana jest obecnie sprawa podróży sekretarza Departamentu Handlu Connora do ZSRR i innych krajów Europy wschodniej w celu omówienia możliwości rozwoju wymiany handlowej między USA i europejskimi krajami socjalistycznymi.

■ Zdaniem sekretarza generalnego ONZ U Thanta „całkowite zwycięstwo lub porażka w Wietnamie nie wchodzą w grę".

■ Jeden z członków delegacji pisarzy radzieckich uczestniczący w charakterze obserwatora na XXXIII Międzynarodowym Kongresie PEN-Klubów, Aleksiej Surkow, oświadczył, iż literaci radzieccy wkrótce przyłączą się do organizacji PEN-Klubów.

POLONICA

POLONICA

POKŁOSIE FESTIWALOWE

W dzienniku hamburskim „Die Welt" (26 czerwca br.) Francke Hanck opublikował obszerne omówienie Festiwalu Filmów Krótkometrażowych, jaki niedawno odbył się w Krakowie. W artykule czytamy między innymi: „Festiwal krakowski jest bez wątpienia najprzyjemniejszym i najsympatyczniejszym z festiwali; o stosunkowo niewielkich rozmiarach — tym razem było w sumie 400 gości — i znakomicie zorganizowany. Odpowiedzialny za służbę informacyjną szef prasowy Jerzy Robert Wittek sporządził doskonałą dokumentację o filmach festiwalowych i ich twórcach.

J. IWASZKIEWICZ O M. DĄBROWSKIEJ W „PEOPLE'S VOICE"

„Głos Ludowy" wychodzący w Detroit w swoim numerze z dnia 5 czerwca br., roku zamieścił bardzo obszerne wspomnienie o naszej największej, zmarłej niedawno, pisarce — Marii Dąbrowskiej, pióra Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to hołd złożony przez polską literaturę dla tej wielkiej Polki, której książki są bardzo popularne wśród Polonii Amerykańskiej.

Iwaszkiewicz, opisując życie i drogę twórczą Dąbrowskiej, stara się wyjaśnić czytelnikowi polskiemu na obczyźnie jej wkład w rozwój współczesnej kultury duchowej Polski.

JUBILEUSZ JANA BRZECHWY NAD SEKWANĄ

Tygodnik „La Semaine Polonaise" z dnia 4 lipca br. przynosi obszerny artykuł o uroczystościach jubileuszowych, jakie odbyły się niedawno z okazji 60-lecia pracy pisarskiej Jana Brzechwy. Artykuł nosi tytuł: „Dla czytelników od lat 5 do 105". Oto co pisze komentator: „Jan Brzechwa znany jest jako poeta-liryk, poeta-satyryk, prozaik, tłumacz i publicysta. Bajki sypią się od wielu lat spod jego pióra. Jest największym współczesnym bajkopisarzem polskim".

Dwa zdjęcia — jedno z uroczystości jubileuszowych, a drugie z tegorocznego kiermaszu książki w Warszawie uzupełniają ten ciepło napisany artykuł.

MOSKWA CZCI LEONA KRUCZKOWSKIEGO

„Sowietskaja Kultura" w nr 77 z dnia 1 lipca br. przynosi wiadomość, że w Domu Przyjaźni w tzw. Białej Sali odbyła się uroczystość poświęcona pamięci Leona Kruczkowskiego. Akademię otworzył sekretarz Zw. Pisarzy ZSRR A. Sałyński, a referat okolicznościowy wygłosił znany krytyk i teatrolog B. Rostocki.

Na zakończenie został wyświetlony film o życiu i twórczości autora „Niemców", specjalnie sprowadzony z Warszawy, oraz film J. Rybickowskiego wg scenariusza Kruczkowskiego pt. „Dziś w nocy umrze miasto".

Przypominamy, że niedawny festiwal polskich sztuk teatralnych w ZSRR odbywał się pod znakiem twórczości naszego pisarza.

FABRYCZNE KONSYLIUM

Dalszy ciąg ze str. 1

Ależ towarzyszu, tak nie można, to jeden z najlepszych zaopatrzeniowców miasta Łodzi.

Kierownika zaproszono na egzekutywę — to już jest wiele.

Przeszeregowania, premie, odznaczenia, to nie błahostki, to czynniki o wzrastającej wadze w każdym zakładzie produkcyjnym. Także w urzędach, biurach. Puszczone nieopatrznie słówko, krzywy uśmiech zwierzchnika, urastają niekiedy do wagi problemu. Na widok tej kobiety cała rada mało nie powstała ze zdumienia. Rzecz musi być niezwykła, skoro nawet ta spokojna robotnica przychodzi z zażaleniem. A skarga była prosta, bardzo typowa i bardzo ludzka. Zmianowy na drukarni doniósł tej kobiecie, że dostanie premię. A jak przyszło do wypłaty to jej nazwiska wcale na liście nie było. Jeszcze się ubawiono. Kobieta w płacz. — Więc to tak, to kierownik ją skreśla z listy, to ona już jest gorsza, już nią pomiatają, wystawiają na pośmiewisko...

Pracownik o wyrobionym poczuciu własnej wartości czuje się dotknięty pominięciem przy premii. Nie śpi po nocach, dłubie w myślach — coś się za tym kryje, ale co? Komu się naraził i dlaczego? Jego wydajność spada, staje się potencjalnym malkontentem. Przyznanie premii, awansy to akty, które w pewnej mierze rozstrzygają dziś o sprawnym funkcjonowaniu dużych przedsiębiorstw. Zwłaszcza tam, gdzie załoga jest ustabilizowana i wszyscy znają się na wylot.

Drobny błąd w ocenie sytuacji i nastrojów powoduje często skutki odwrotne od zamierzonych.

Jedna z wielkich, łódzkich fabryk zatrudnia 3700 prządek i tkaczek.

Bystry, nieprzeciętnie inteligentny działacz związkowy opowiadał mi o potknięciu w dniu Święta Kobiet, więc 8 marca:

— Mieliśmy do dyspozycji 15 tysięcy złotych. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie jeśli kupimy dla każdej kobiety po jednym ciastku i po torebce cukierków. Tam gdzie kierownikami działów byli ludzie awansowani z dołów, wszystko nam zagrało. Kierownik szedł z ciastkami między kobiety, żartował, śmiał się, puszczał dowcipy. Kobiety brały ciastka i też się śmiały. Gorzej było na salach gdzie kierownikami byli młodzi inżynierowie po studiach. Inżynierowie wysyłali mistrzów na salę. Jak kobiety zobaczyły mistrza z tacą na ręku, to zaraz huzia na niego:

— A idź ty do diabła z twoimi ciastkami, nie zawracaj nam głowy, do czorta z tobą. Widzicie go, jaki cukiernik się zrobił...

Kobiety są nerwowe, pobudliwe, uczulone na każdy przejaw złego, w ich pojęciu, traktowania.

W obszywalni kołder dużej fabryki doszło niedawno do spontanicznego buntu. Kilkanaście rozgorączkowanych kobiet wdarło się do rady. — My albo ona — krzyczały robotnice. — Mamy dość brygadzistki, tej wielkiej pani, która się tylko mizdrzy i pizdrzy i jeszcze nikomu w niczym nie pomogła. Nie możemy dłużej na nią patrzeć, dojadła nam, dopiekła, żeby ją... Niedoświadczony działacz skłonny jest w takim wypadku szermować słowem „rozróba". Doświadczony wie lepiej. Nie ma dymu bez ognia, nie ma skutku bez przyczyny. Wprawdzie nie zawsze racja jest po stronie większości, ale najczęściej jest. Gdyby miało być inaczej, to cała demokracja diabła by była warta. Duch społeczności ujawnia się czasem w niekontrolowanych odruchach, które mądremu działaczowi zawsze dają do myślenia. Zresztą w tym konkretnym wypadku działał zwykły instynkt samoobrony. Kobiety nie rozrabiały, broniły swej godności, współrządziły zakładem.

Na szali leżą pewne pryncypia nawet wówczas, gdy chodzi tylko o arogancką brygadzistkę.

Na wniosek rady zakładowej brygadzistkę zwolniono.

Tydzień temu rozmawiałem ze starym człowiekiem. Był siwy, schorowany z głębokimi bruzdami na twarzy. Nazywał się Kurek, jeśli sobie dobrze przypominam. Łamało go w krzyżu, w kolanach, liczył każdy dzień do emerytury, a tych dni zostało już tylko 1000. Przed zakończeniem zmiany podbiegł do niego bardzo gorliwy dyspozytor, który koniecznie chciał się wykazać i zagrzmiał:

— Dalej posprzątać mi tu zaraz podwórze...

Stary człowiek nie wykonał polecenia. Tłumaczył się, że rozkazu nie zrozumiał, że nie znał dyspozytora, więc nie mógł przyjmować poleceń od obcych. Dyrekcja nie uwzględniła tych tłumaczeń. Formalnie rzecz biorąc miała po temu podstawy. Robotnik miał być zwolniony dyscyplinarnie. Wtedy poszedł do rady po ratunek. Trafił dobrze. Kolega P. nie należał do owych kapelistów, którzy są diablo czujni, ale tylko na gest kapelmistrza. Mimo pewnych nacisków nie złożył podpisu na dokumencie. Robotnik został, pracuje, choć tylko krok dzielił go od katastrofy. Rada zakładowa ma władzę. To nie fikcja władzy ani nie iluzja, to władza rzeczywista. Tylko, że trzeba niekiedy nie tylko mandatu, ale też charakteru, by z tej władzy korzystać.

Bywają konflikty na wyższej płaszczyźnie, dotyczą zarobków.

Rok temu na tkalniach wprowadzono nowe normy. Mistrzowie wielkich zakładów uznali, że tą drogą stuknięto ich po kieszeni. Mamona ach mamona, gdybyż można żyć bez ciebie, że jednak nie można, więc mistrzowie pchnęli gdzie trzeba memoriał. Analizy zarobków dokonali związkowcy. Jest ona o tyle ciekawa, że jej wyniki są chyba typowe dla większości łódzkich fabryk włókienniczych. Spośród 5460 osób zatrudnionych w tym zakładzie 649 to pracownicy umysłowi. Dużo czy mało? Nie wiem, pomówimy o tym po roku 1970, kiedy na dobre przewali się wyż demograficzny, a zostaną po nim w spadku olbrzymie zakłady produkcyjne, które przez ten czas wybudujemy. Średni zarobek wszystkich pracowników tej fabryki

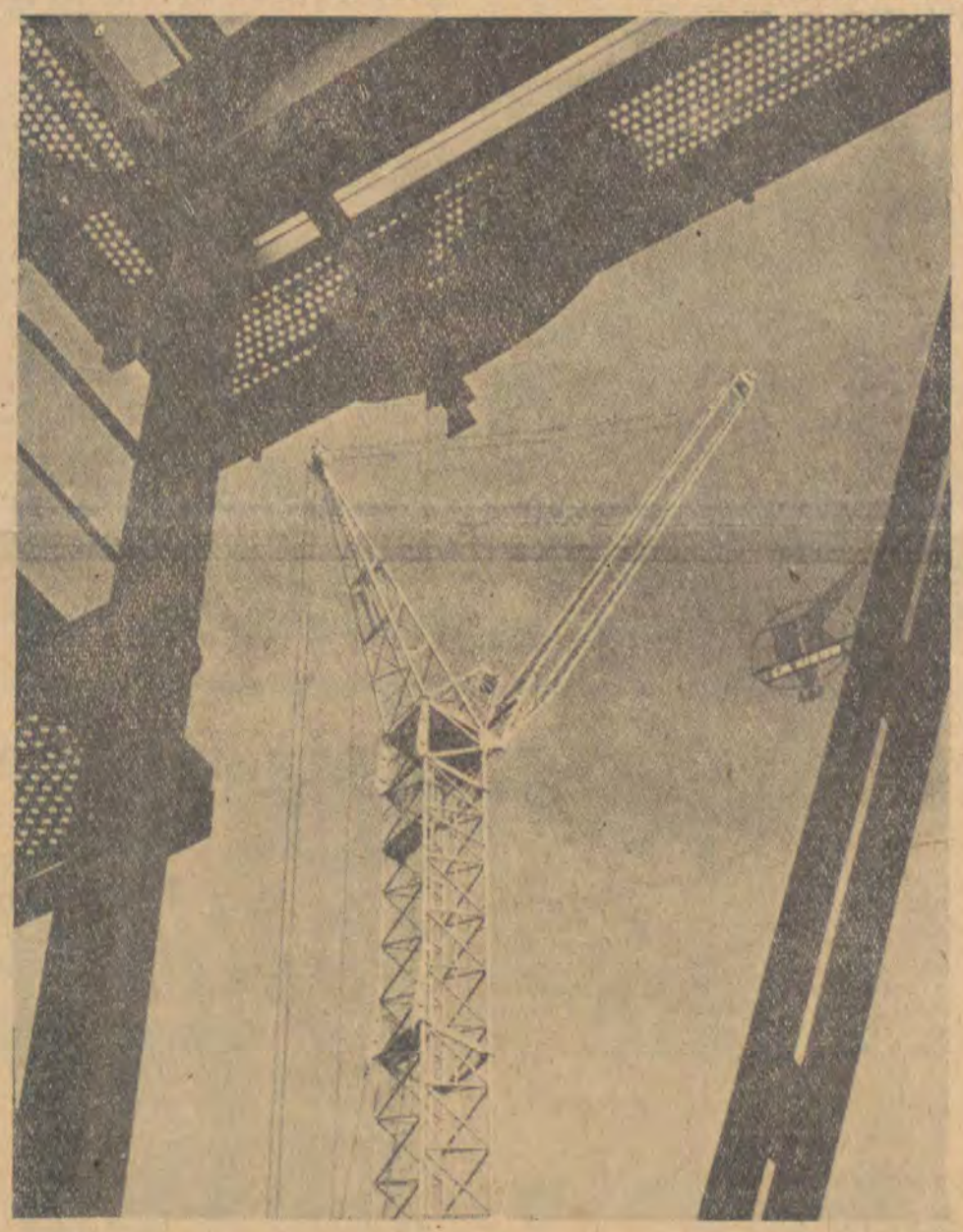

wynosił w 1963 roku 1756 złotych miesięcznie. W 1964 roku 1791 złotych. Brutto. Zarobki pracowników grupy przemysłowej podniosły się odpowiednio z 1643 złotych do 1675. To są przeciętne. Bo mistrzowie zarabiają od 2700 do 3500 złotych, rekordziści nawet 4500. Stwierdzono więc, że spadku w zarobkach nie ma choć trudno mówić o jakichś spektakularnych podwyżkach.

Wiem, korci, żeby się dowiedzieć ile zarabia dyrektor naczelny tej fabryki.

Zarabia 4800 złotych, do tego dochodzą różne premie i nagrody. W sumie dyrektor pobiera około 8 tysięcy złotych miesięcznie. Dużo czy mało? Nie wiem, rzecz jest względna. Czy robotnicy zazdroszczą dyrektorowi? Nie sądzę. Jestem nawet pewny, że im do zawiści bardzo, ale to bardzo daleko. Nie są ślepi. Widzą jak dyrektor się szarpie, jak skomplikowana machina kieruje, za co odpowiada. Sam słyszałem jak mówiono. — Diabli z jego tysiącami, ja bym się tam nie zamienił... — Może tym zdaniem wyrażona jest ludowa mądrość, że bezpieczniej jest słuchać niż rozkazywać?

Spytałem jednego z kierowników fabrycznego radiowęzła:

— Pracujesz już tu kilkanaście lat, ilu dyrektorów już przeżyłeś?

Towarzysz D. zaczął liczyć.

— Pięciu — odpowiedział.

— Co się z nimi dzieje?

— Nic się nie dzieje, jak byli dyrektorami tak są. Jeden jest dyrektorem w Andrychowie, drugi w zjednoczeniu, trzeci w „Cewce"... i tak dalej...

Czyżby Lec miał rację? Czyżby kiedyś ludzie wznosili się i spadali pionowo, a teraz spadali poziomo? Nie przesadzajmy. Trup wprawdzie gęsto nie pada, ale słyszeliśmy przecież o dyrektorach, którzy sobie samym wydzierżawili powierzony im interes. Kosili niesamowicie. Od środka: Tylko szum było słychać. Ich również skoszono. Dyrektorzy, o których wspomniał mój rozmówca, nie popełniali błędów. Nie udawali besserwisserów którzy wiedzą nawet co to jest jądrzak i jatrochemia, choć w branży włókienniczej stali się na pewno specami. Ostatecznie nasz przemysł pracuje na zasadzie naczyń połączonych. Więc poziome przesuwanie wybitnych fachowców nie powinno wywoływać zdumienia tych którzy niczego tak nie żałują, jak tego, że sami nie są przesuwani. Jest również prawdopodobne, że wszyscy ci dyrektorzy posiedli umiejętność współżycia z ludźmi co jest sztuką, która nie każdemu jest dana. Przy podpisywaniu zwolnień i upomnień wykazywali daleko idącą rozwagę i tym zaskarbili sobie zaufanie załóg.

Kary to punkt drażliwy.

W fabrykach karze się za bumelanctwo, brakoróbstwo, lekceważenie przepisów, poleceń i za jeszcze setkę innych wykroczeń. Idee fabryki, w której by nikogo nie karano, by świadomość i tym podobne rzeczy, włożono już dawno między bajeczki dla dzieci. Żaden ustrój nie posiadł utopijnych mocy, by naturę człowieka formowaną przez dziesiątki tysięcy lat, zmienić w ciągu lat kilkudziesięciu. Nie starczy powiedzieć — budujemy socjalizm — by od tego robiło się od razu wszędzie bardzo cudownie i radośnie. To by graniczyło z czarną magią. Więc w każdym, dużym zakładzie produkcyjnym włókienniczej Łodzi udziela się co miesiąc kilkudziesięciu upomnień, upomnień z ostrzeżeniem, nagan i nagan z ostrzeżeniem. Wszystko na piśmie. Nie pomoże już samokrytyka, choćby ją składano głosem zniżonym do mysiego niby — płaczu.

Czy prócz kar udziela się również pochwał na piśmie?

Szefowa działu kadr wielkiego kombinatu wydawała się mocno zaskoczona.

— Nikt mnie o to przedtem nie pytał — odparła. Nie słyszałam, by w jakiejś fabryce prócz kar udzielano też pochwał na piśmie.

W tym właśnie leży sedno zagadnienia. Bo karty personalne winny być zapisane po obu stronach, a nie po jednej. Jest bzdurą ocenianie czyjejś wartości sumą popełnionych błędów. A gdzie pozytywy? Gdzie druga strona medalu? Ta lepsza. Gdzie prawo efektu sformułowane po raz pierwszy przez H. Masona w „Psychology of Management" książce ogłoszonej drukiem w roku ubiegłym. To na nią powoływał się prof. Julian Aleksandrowicz z Akademii Medycznej w Krakowie w referacie dotyczącym reformy nauczania medycyny. Profesor wyraził zaniepokojenie wzrostem ilości nieznanych kiedyś chorób. Szczególnie wzrostem ilości zawałów i chorób nerwowych. Wskazywał na rosnącą wagę dobrze ułożonych stosunków międzyludzkich w zakładach produkcyjnych.

Prawo efektu, na czym ono polega?

Na tym, że człowiek ma wrodzone skłonności do powtarzania czynności, która zwierzchnik zauważył i pochwalił. Unika natomiast kroków, które spotkały się z reprymendą. Szuka więc kryterium skuteczności. To ono kształtuje jego postawę w procesie wytwarzania i przynosi maksymalne efekty nie tylko jemu, ale też fabryce. Zatem technokrata, który jest psychologiem oraz idzie z duchem czasu, winien też chwalić. Chociaż wątpię, by to przyniosło jakikolwiek rezultat w odniesieniu do tkaczki Szwigu... Jej sprawa jest trudna, także kłopotliwa dla każdego, kto ją zna od podszewki. To niesamowita niewiasta. Ksantypa, przed którą sam Sokrates schowałby się jeszcze raz w mysią dziurę.

Jej mąż, doskonały fachowiec dwukrotnie próbował z sobą skończyć. Za drugim razem rozmawiała z nim koleżanka Rz...

— Czyś ty zwariował człowieku — tłumaczyła. — Co ty wyrabiasz, taki młody, taki zdrowy, weź się w karby i zapomnij o tej jędzy...

W miesiąc później robotnik załamał się całkowicie. Po raz trzeci spróbował odebrać sobie życie. Udało się, dentał śmierci tak długo po piętach, aż ją znalazł. Czemu jednak wdowa po nim wydeptuje wciąż nowe ścieżki do rady? Czyżby naprawdę nie miała za co utrzymać dzieci? Skądże. Gdy pracuje jak inne tkaczki, wówczas zarabia około 2 tysięcy złotych miesięcznie. Prócz tego każdego pierwszego otrzymuje po mężu nieboszczyku 1100 złotych miesięcznej renty. Właśnie na dzieci. Więc o co chodzi? Ba, żeby to kto wiedział.

Ostatnim razem udało się jej wyłudzić od rady jeszcze 150 złotych. Czy rada miała odmówić? To nie takie proste, gdy ma się pewność, że gdzieś tam w zimnym pokoju dzieci czekają na kawałek chleba. W sprawach ludzkich trzeba z rozwagą, delikatnie, z wielką odpowiedzialnością. Nawet gdy ktoś się szarpie z własnej winy, nawet wówczas trzeba wyciągnąć rękę. A nuż się uda? Myślę, że nie ma wielkiej tragedii, gdy się zdejmuje dyrektora, bo dyrektor schodzi o szczebel. Jest jednak tragedia, gdy się chce zdjąć robotnika, któremu brakuje do emerytury 3 lata. Wtedy nie ma już dokąd zejść.

Upłynie jeszcze jakiś czas, nim dogonimy Zachód w produkcji rzeczy ładnych, tanich i dobrych. Ale w pewnej dziedzinie już dziś posiadamy nad Zachodem strukturalną przewagę. Przynajmniej powinniśmy ją mieć. Ta dziedzina są stosunki międzyludzkie. Wszystkie sprężyny znajdują się przecież w ręku samych załóg, w ręku rad zakładowych. Ja bym powiedział, że te rady to bez przerwy urzędujące konsylia które dbają o to, by organizm fabryczny nie chorował i działał bez żadnych zakłóceń. Łódzkie prządki, które w zeszłym wieku chodziły z bólem w sercu do księdza proboszcza, teraz chodzą do rad zakładowych. W radzie każdy jest śmiały, zadziwiająco szczery w najbardziej osobistych kwestiach. Tu wszyscy są równi, równy rozmawia z równym, związkowiec ze związkowcem. Rady prowadzą codzienny dialog z załogą, którego celem jest dobre współżycie ludzi, skazanych na siebie samym tokiem produkcji. Rady działają poprzez armię bezimiennych aktywistów.

Nie mogą jednak, jak dyrektor, skonfrontować wyników pracy na planszy z planem.

Dla rad, człowiek jest na planie.

JAN BĄBIŃSKI

LISTY do REDAKCJI

Dziękując za list zawierający interesujące dane historyczne, pragniemy równocześnie poinformować, że według informacji otrzymanych z referatu Historii Partii KŁ PZPR ob. Zygmunt Jedynecki przedstawiając nieprawdziwe dane pobierał od roku 1957 rentę partyjną jako b. działacz PPS i KPP. W wyniku dochodzenia przeprowadzonego przez Miejską Komisję Kontroli Partyjnej nie potwierdzono przynależności ob. Jedyneckiego do PPS w okresie caratu, nie potwierdzono też jego przynależności do KPP w latach 1924—1938. Za wprowadzenie w błąd partii ob. Jedynecki został ukarany i pozbawiony od 1960 roku renty.

Nadesłanych nam zdjęć nie możemy reprodukować ze względu na ich złą jakość techniczną.

W związku z artykułem „Sługa Ekscelencji" zamieszczonym w numerze 25/341 „Odgłosów" z dn. 27. VI. 1965 r. z upoważnienia mej matki pragnę poinformować że zamachu na braci Fremlów jaki miał miejsce w maju 1907 roku przy zbiegu ulic Obr. Stalingradu i Żeromskiego (mieściła się tam żandarmeria) dokonali bracia matki — Adam Sobczyński ps. partyjny „Słowik" Zygmunt Sobczyński ps. partyjny „Gruszka" czł. PPS — czynni wówczas bojowcy.

Obok powyższej akcji brali udział w innych, a m. in. w zamachu na agentkę Ochrany Wandę Włodarską i rewirowego Łopatę.

Brali również udział w organizowaniu buntu robotników dworskich w okolicy m. Ozorkowa, itp.

Wyrokiem sądu Zygmunt Sobczyński jako niepełnoletni skazany został na zsyłkę na Sybir, a Adam Sobczyński na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonał Ryszard Fremel w dniu 1. I. 1909 r. w więzieniu (na dzień ten opiewa akt zgonu).

W rozprawie sądowej jako świadek oskarżenia brał udział Zygmunt Jedynecki (po wojnie odznaczony Krzyżem Kawalerskim i pobierający rentę partyjną — obecnie pozbawiony tych przywilejów na skutek interwencji matki). Jedynecki nasłany był przez żandarmerię. Przed wykonaniem wyroku Modelewski w swoim gabinecie nakłaniał Adamą Sobczyńskiego do zdrady, obiecując ułaskawienie. Odpowiedzią na to było rzucenie się na niego i chęć pozbawienia życia przez uduszenie. Adam Sobczyński postrzelony i obezwładniony został przez strażnika i R Fremla — wkrótce powieszony. Zginął w wieku dwudziestu lat. W załączeniu pozwalam sobie przesłać zdjęcie obu braci matki (fotokopie).

Jedno z nich przedstawia Adama Sobczyńskiego na dziedzińcu więziennym przy ul. Gdańskiej na krótko przed straceniem, drugie Zygmunta Sobczyńskiego jako więźnia politycznego wraz z towarzyszami (na zdjęciu widać kajdany) z okresu zsyłki na Syberię.

Z poważaniem

I. CIEŚLAK

Łódź, Gandhiego 23 m 6

A. NADOLSKI

Kurhan MAMUSI

ZWIERZENIA archeologa

Wśród ciekawych osobistości w jakie obfitują dzieje Krakowa w XIX wieku godne miejsce zajmuje Ludwik Łętowski. Za młodu oficer, potem duchowny, nawet biskup (co prawda in partibus infidelium) był do końca długiego żywota istnym enfant terrible krakowskiej diecezji. Zajmując się, a może tylko bawiąc rzemiosłem pisarskim, pozostawił po sobie sporo utworów wcale ciekawych, choć często stosowniejszych dla kapitana niż dla biskupa. Jedną z jego książek „Miscellanea" wykupywali i niszczyli krakowscy kanonicy, zaszokowani swawolą biskupiego pióra. Pomiędzy innymi historyjkami, składającymi się na te „Miscellanea" jest też i następująca:

Była sobie raz wdówka, która wydała się powtórnie za pana w wieku przedemerytalnym, o wnętrznościach zdezelowanych już nadużywaniem rozkoszy stołu. Życie tak skojarzonej pary toczyłoby się gładko i szczęśliwie, gdyby harmonii jego nie zakłócał małżonek przykrymi efektami akustycznymi, szczególnie dolegliwymi w ciche, rodzinne wieczory. Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. Ex-wdówka podarowała mężowi róg bawoli olbrzymich rozmiarów, który odpowiednio zamontowany zamieniał wszelkie drastyczne dźwięki w dziarskie marsze, rzewne dumki, lub upojne serenady. Rzemieślnik, który podjął się realizacji tego racjonalizatorskiego pomysłu „chytry Niemczyk" (według słów ks. biskupa) uświetnił swe dzieło ryjąc na powierzchni rogu tajemnicze znaki i zawiłe ornamenty.

Mniejsza o drogi jakimi róg trafił po latach do antykwariatu. Wystarczy, że wypatrzył go tam jeden z ówczesnych krakowskich archeologów. Zachwycony taką pamiątką minionych wieków kupił ją za ciężkie pieniądze. Schodzili się potem nad owym rogiem liczni znawcy starożytności. Radzili, dyskutowali, próbowali nawet koncertować. Byli tacy, co w interesującym instrumencie dopatrywali się jednej z tych trąb od których dźwięku runęły mury Jerycha. Inni oponowali, uznając wyryte na rogu znaki za słowiańskie napisy runiczne. I tu koniec anegdoty zrodzonej przez rozbrykaną fantazję biskupa Łętowskiego.

W każdej anegdocie jest trochę prawdy. W słowiańskie runy, w tajemnicze pismo dawnych Słowian wierzyli swego czasu bardzo poważni ludzie. Z tą wiarą łączy się autentyczna i głośna niegdyś w Polsce afera naukowa: odkrycie Kamieni Mikorzyńskich. Zdarzyło się to w czasach romantyzmu, który był modą panującą bynajmniej nie tylko w literaturze. Romantyzm historyczny objawiał się u nas szczególnym zainteresowaniem dla rdzennie własnej słowiańskiej przeszłości, a zwłaszcza dla tego, co w niej było tajemnicze i metafizyczne. Francuzi entuzjazmowali się wówczas w podobny sposób przeszłością celtycką, a Niemcy germańską. U tych ostatnich entuzjazm przeszedł z czasem jak wiadomo w formę patologiczną. Romantyczni słowianofile byli strasznie łasi na wszelkie znaleziska, które można by zinterpretować jako ślady dawnych wierzeń pogańskich, jako pozostałości rodzimej kultury nieskażonej jeszcze pokostem łacińskiego chrześcijaństwa. Wszędzie doszukiwali się gontyn, zniczów, Perunów i Światowidów. I oto w r. 1856 rozeszła się wieść, że w Mikorzynie koło Ostrzeszowa wykopano kamień z wyrytym wyobrażeniem pogańskiego bóstwa i z tajemniczymi znakami przypominającymi napisy runiczne. Niewątpliwie święte pismo słowiańskie!

Bądźmy sprawiedliwi. Od początku odezwały się głosy nieufności. Ale cóż znaczyły, gdy za autentyzmem znaleziska opowiedział się ze swej emigracyjnej samotni sam Lelewel. „Życzyć, aby więcej podobnych z głębi ziemi wylazło" pisał o Kamieniu Mikorzyńskim. I życzeniu wielkiego historyka stało się zadość. Wylazł z głębi ziemi w Mikorzynie drugi głaz z napisami, zaopatrzony dla odmiany w wizerunek konika. Ani chybi! wieszczy koń Światowida! zakrzyknęli entuzjaści. Sceptycy pokonani zamilkli, ale nie na stałe. Lata mijały, wraz z nimi minęła moda na romantyzm. Sprawa Kamieni Mikorzyńskich przez blisko pół wieku wracała na karty literatury, na porządek obrad różnych zjazdów i konferencji naukowych, aż wreszcie doczekała się ostatecznego wyjaśnienia. Dziś nikt nie wierzy w autentyzm słynnego niegdyś znaleziska. Wszystko zdaje się wskazywać, że twórcą kamieni był po prostu ich „odkrywca", właściciel Mikorzyna — Piotr Droszewski. Amator „starożytności krajowych" chciał w ten sposób zapewnić sobie miejsce w dziejach archeologii polskiej. Udało mu się, zdobył to miejsce, tylko nie takie o jakim myślał. Jego fabrykaty leżą dziś w krakowskim Muzeum Archeologicznym jako trochę smutny, trochę zabawny pomnik fałszywej ambicji z jednej, a naiwnych nadziei z drugiej strony.

Bywają gorsze przygody. Ofiarą szczególnie przykrej padł Godfryd Ossowski, zasłużony archeolog, czynny w ostatniej ćwierci XIX wieku. Były to z kolei czasy rozkwitu nauk przyrodniczych, triumfu Darwinowskiej teorii ewolucji. Archeolodzy nasi i nie nasi wyżywali się teraz w badaniach nad początkami kultury ludzkiej, nad najdawniejszymi epokami pradziejów. Na naszych ziemiach najważniejszą kopalnią śladów z tych odległych okresów okazały się jaskinie w wapiennych skałkach okolic Krakowa. Ossowski zbadał wnętrza wielu jaskiń i zdobył wiele ciekawych zabytków. Niestety zastosował przy tym bardzo niefortunny system premiowania zatrudnionych przez siebie robotników za znalezienie szczególnie ciekawych okazów. Nieopatrznie zbudzone prawa ekonomii poczęły działać. Wśród współpracowników Ossowskiego znaleźli się kombinatorzy, którzy postanowili dopomóc naturze i dostarczyli swemu szefowi całego szeregu unikatów — własnej produkcji. Co najgorsze, wykorzystali w tym celu wydobywane z ziemi autentyczne prahistoryczne narzędzia kościane, upiększając je wyrytymi na ich powierzchni różnymi ornamentami. Ossowski nie dostrzegł fałszerstwa, nie uszło ono jednak uwagi archeologów z innych krajów. Badacz polski surowo osądzony przez opinię naukową za zbyt łatwowierny stosunek do swoich odkryć, odczuł tę krytykę bardzo boleśnie i właściwie przerwał działalność badawczą w dziedzinie archeologii. Sprawa przybrała zatem obrót szczególnie poważny. Do szkody poniesionej przez naukę przyłączyła się ciężka krzywda, wyrządzona zasłużonemu badaczowi.

U podstaw archeologicznych niewypałów bynajmniej nie zawsze musi leżeć czyjaś zła wola dająca w efekcie fałszerstwo. Zdarzają się omyłki płynące czasem z naszej nieuwagi, czasem po prostu z braku szczęścia. Tak, z braku szczęścia, bo badania wykopaliskowe wcale często kryją pomimo wszystko moment ryzyka. Przypominam tu sobie taki casus, który przydarzył się na naszym własnym, łódzkim podwórku. Wprawdzie zły to ptak, co własne gniazdo kala — ale... było nie było, pokalam!

Zachęceni dużym sukcesem odniesionym dzięki wykopaliskom na cmentarzysku kurhanowym w Łubnej, w pow. sieradzkim, archeolodzy łódzcy w pierwszych latach powojennych poświecili wiele uwagi badaniom kurhanów. Przyszła wreszcie kolej na potężny kopiec w Gzikowie. Nasyp był niewątpliwie sztuczny, a jego imponujące rozmiary pozwalały snuć najpiękniejsze marzenia na temat jego zawartości, zapewne wspaniałej. Niestety brakło danych, które pozwoliłyby bodaj wstępnie, w przybliżeniu określić czas powstania interesującego obiektu. Początek prac wykopaliskowych nie przyczynił się do wyjaśnienia zagadki. Pozostało czekać cierpliwie aż wykopy dojdą do podstawy kopca, gdzie można by spodziewać się ewentualnej komory grobowej. Ale oto wśród gromadki gapiów asystujących jak zwykle robotom, pojawił się jakiś równie sędziwy, jak dziarski staruszek. Jeśli sędziwy — to powinien znać dobrze wszystkie miejscowe legendy i podania. Jeśli dziarski — to chyba będzie umiał je powtórzyć. Archeolodzy nauczyli się cenić vox populi, cenić i wykorzystywać „wieść gminną, tę arkę przymierza między dawnymi a młodymi laty". Rzucili się na staruszka z całym zapałem. Powiedzcie dziadku coście tu widzieli na tym kopcu, coście o nim słyszeli? Pokutujące duchy, skarby zaklęte, zapadnięte zamki i kościoły — przedstawiono staruszkowi do wyboru cały skarbiec klasycznych baśni tradycyjnie krążących wokół grodzisk i kurhanów. Słyszeć, to tam nic nie słyszałem — odpowiada dziadek — widzieć nie widziałem. Ale moja mamusia jak jeszcze była panienką to widziała, widziała! Co widziała? pada spieszne pytanie. A widziała jak dziedzic kazał ziemię zwozić i tę górkę sypać, a potem na wierzchu postawili budkę, nasadzili kwiatków i państwo se tam siadali, kawę pili i spozierali na okolicę...

Wiele lat upłynęło zanim archeolodzy łódzcy znów nabrali gustu do badania kurhanów. Trudno. Nawet małpa spada z drzewa, jak mówi podobno japońskie przysłowie.

Jan Lamęcki. Władysław Jagiełło.

Dalszy ciąg ze str. 1

miasto i traci czupurną widownię... wściekłość, czarna rozpacz, łzy!...

Wolne żarty! Rzeczywistość była inna. Rzeczywistość była taka, że już w trzydziestej minucie świetny Suski urwał się obrońcom i zatrudnił Kosidera. Kosider ruszył dość leniwie — zdziwiony nieco, zaskoczony — i dość mimowolnie złożył się do strzału. No i piłka wleciała ospale w siatkę, na co bramkarz Zawiszy spoglądał naiwnie. Tak to właśnie wyglądało. W trzydziestej minucie Łódź prowadzi 1:0. Dwadzieścia pięć tysięcy kibiców niemrawo klaszcze w dłonie. Niby radość. Niby ulga. Ale czegoś w tym wszystkim brakuje. Brak napięcia. Atmosfera nijaka...

„Tłum emocja z miejsc podniosła
strzelił Cieślik bardzo ostro..."

Dalszy ciąg tego wiersza wyleciał mi z głowy. To był pomnik dla boga stadionów. Dla najpopularniejszego powojennego piłkarza Polski. Stworzył go jakiś anonimowy poeta łącznikowi, który rzeczywiście strzelał ostro. Efektownie. Estetycznie. Łącznikowi, którego kochała publiczność, którego nosiła na rękach. Bo publiczność

KULISY wielkiej GRY

kocha się w efektach. W estetyce i w ostrym strzelaniu. Publiczność chce zwycięstwa w wielkim stylu, chce teatru i emocji, a gdy tej nie znajdzie, gdy jest nudno — łaknie krwi! Jak na meczu bokserskim, kiedy spokojne na pozór, zimnokrwiste kobiety dostają nagle gorączki i powodowane dziką presją tłumu krzyczą obok mężów:

„W żołądź go!"
„W śmietnik!"
„Zabij!"

Zabij, łodzianinie, swego brata z Gliwic, zniszcz syna tej pani, co krzyczy...

Bo publiczność jest szowinistyczna. Wszędzie. W każdym, pewnie, miasteczku i kraju. — Na Śląsku i w Łodzi — szczególnie.

2

Ale wróćmy na piłkarski stadion. Pierwsze minuty meczu ŁKS — Zawisza. Jeszcze nim Kosider zdobył ową bramkę, jeden z łódzkich obrońców zagrał nieczysto i sędzia podyktował rzut wolny. Święta wściekłość widowni. Oburzenie. Stek najbardziej ordynarnych komplementów poszybował na głowę arbitra: „Łobuz", „Kapeć", „Idiota" — tych nie biorę w ogóle w rachubę.

Odwrotna strona medalu: mylny werdykt sędziego — bo i to się zdarza — zatwierdził w chwilę potem corner dla ŁKS. Ludzie się cieszą, biją brawo. „Nareszcie coś zauważył" — ktoś sepleni okrutnie na ponarcie posunięć rozjemcy.

Dwudziesta trzecia minuta spotkania. Łódzki napastnik dryblinje środkiem boiska, ogrywa cofniętego do tyłu Sułkowskiego, przechodzi zwodem ciała Fiodorowa i wtedy, właśnie gdy szykuje się do strzału zderza się z obrońcą Zawiszy — Szadkowskim. Pada. Gwizdek sędziego przerywa grę. Już wiadomo — będzie „wolny". Sadek ustawia pieczołowicie piłkę, cofa się do rozbiegu. Tamci robią „mur". Niby wszystko w porządku, ale gawiedź gwiżdże. I bluźni. W stronę sędziego: „Zawieś łobuza!", „Z boiska chama!" W stronę Szadkowskiego, co dopuścił się faulu: „Krowy paść, kłosie", „Abyś ty, zbóju zdechł!".

I odwrotnie. Czterdziesta pierwsza minuta — rozhasany jak źrebak Krasucki pada pod nogą obrońcy łódzkiego. Skręca się z bólu i przypuszczać by można, że za moment odejdzie w zaświaty. Ale stadion cieszy się, bądź niedowierza. Jedni krzyczą: „Dobrze mu tak!" — biją brawo, inni wrzeszczą: „Udaje, stary cwaniak! nic mu nie jest!" Widać — rzeczywiście nic mu nie jest, bo choć z trudem lecz wstaje: kuleje trochę, utyka. „Załatwiony — krzyczą jedni, drudzy, że udaje, a jedni i drudzy zgodnie protestują, kiedy za ten jawny, ordynarny faul napastnik Zawiszy — Pieszko ustawia piłkę do rzutu wolnego. Protestują, bo sędzia jest „kalosz". Sędzia jest zawsze „kalosz" — już od pierwszej minuty spotkania. Od pierwszej minuty spotkania publiczność łódzka hołduje przykazaniu, że dobrze jest gdy Kali komuś... że źle, gdy ktoś Kalemu... Ale sędzia tego nie wyznaje.

3

Że na meczach ligowych krąży flaszka — wszyscy o tym wiedzą. Pisała prasa, mówiło radio, pokazała telewizja i kronika. Nie mam zamiaru wracać do tego problemu, ani opisywać zjawiska raz jeszcze, zgadzam się bowiem z opinią, że stadion sportowy jest nie gorszym miejscem na biesiadę niż uliczna brama, że wbity gol może być równie dobrym pretekstem do toastu co imieniny jakiejś tam cioci-kloci. Ale kulisy stadionów kryją także inne tajemnice, o których mówi się szeptem, na ucho; o nich się nie pisze. Na przykład — koniki sportowe, ułatwiające kupno biletów. — Jest ich sporo. Żerują na niecierpliwych kibicach, którym strasznie stać w długiej kolejce. Żerują wyłącznie na niecierpliwych, gdyż czasy, kiedy mogło zabraknąć biletów na mecz ŁKS, należą do zamierzchłej przeszłości.

Koniki stanowią zaledwie część ogółu stadionowych handlarzy. Część także stanowią lodziarze, reklamujący lichy, wodnisty towar kwiecista polszczyzną.

Od redakcji: W poprzednim numerze omawialiśmy wydany w Nowym Jorku tom reportaży Robin Moore'a pt.

ZIELONE BERETY

Przedrukowując obecnie fragment jednego z tych reportaży przypominamy naszym czytelnikom, iż Moore jest dziennikarzem, który służył jako komandos w amerykańskich oddziałach w Wietnamie Południowym. Jego relacja, wierna i autentyczna, ukazuje prawdziwe oblicze „najbrudniejszej z wojen".

Steve Kornie, komendant grupy specjalnej amerykańskich sił zbrojnych w południowowietnamskiej wsi obron nej Phan Chau, poprowadził mnie przez mroczne przejście do kwadratowego pomieszczenia w końcu budynku. Wąska szpara w suficie zastępowała okno. Niczym nie osłonięta żarówka wzmacniała światło wpadające przez szparę.

Żółtawy, lekko zezujący południowowietnamski podoficer stał za masywnym stołem i bacznie przyglądał się drżącemu jeńcowi, któremu zarzucano, że należy do Vietcongu. Sierżant Ngoc podał mi rękę, która była wilgotna. Potem usunąłem się w róg pomieszczenia.

Ngoc spokojnie spacerował wokół stołu; pozornie nie zwracał na więźnia uwagi. Nagle grzbietem dłoni uderzył go w prawą skroń. Niemal równocześnie nastąpił cios lewą ręką. Potem Ngoc zadał mu jakieś pytanie. Odpowiedź nie była zadowalająca. Uderzenie w kark rzuciło domniemanego partyzanta na kolana. Teraz Ngoc dał znak i dwaj południowowietnamscy wartownicy cisnęli mężczyznę na fotel, a Ngoc wykręcił ramię swej ofiary, wygiął palce do góry i przesunął przegub ręki przez skórzaną pętlę przytwierdzoną do stołu. Jeden z wartowników zacisnął mocno pętlę. Ngoc wyciągnął bagnet z pochwy i wbił go w stół.

Jeniec szarpnął się do tyłu. Ngoc wyciągnął spod wyłogu polowej bluzy długą, czarną szpilkę z purpurową główką. Błyskawicznym ruchem chwycił kciuk więźnia, wbijając mu szpilkę pod paznokieć.

Jeniec zawył. Ngoc zadał następne pytanie. Ale odpowiedź znowu go nie zadowoliła. Utkwiwszy nieruchome spojrzenie w twarzy ofiary, Ngoc wolno wyciągnął bagnet z blatu stołu i dalej pytał, z początku jakby od niechcenia, a potem z naciskiem. Nie otrzymywał odpowiedzi. Stuknął wtedy płazem bagnetu główkę szpilki. Jeniec krzyknął. Pot zrosił mu twarz. Jeden ze strażników wykręcił prawe ramię więźnia.

Ngoc położył spokojnie bagnet na stole, wyjął z kieszeni notes i długopis i znowu zaczął zadawać pytania. Mężczyzna odpowiadał niewyraźnie. Specjalista od przesłuchiwań potrząsnął z niezadowoleniem głową; odłożył ostrożnie długopis, chwycił bagnet i wbił szpilkę głębiej w ciało. Więzień jęknął. Z oczu spłynęły mu łzy.

Wtedy Ngoc znowu położył bagnet, wziął do ręki długopis. Czekał. Jeniec dygotał i mówił coś niezrozumiale. Nie udzielił jednak informacji, o którą sierżantowi chodziło. Ngoc milcząc odczekał pół minuty, westchnął, chwycił bagnet. Oczy jeńca śledziły każdy ruch Ngoca. Sierżant trzymał klingę bagnetu nad purpurową główką, spoglądał pytająco na więźnia i wolnymi, lekkimi uderzeniami wbijał głębiej szpilkę.

W pewnym momencie Ngoc stracił cierpliwość i zaczął pokrzykiwać wściekle, ponieważ jeńca najwyraźniej opuszczały siły. Jego brązowa twarz nabiegła krwią, a zalane potem i łzami oczy błyszczały szaleńczo, śledząc bagnet unoszący się i spadający na główkę szpilki.

Mężczyzna ze świstem wciągnął w płuca wilgotne powietrze, zadygotał i wybuchnął straszliwym krzykiem. Wydawało się, że Ngoc przełamał wreszcie opór jeńca. Gdy umilkł krzyk bólu, Ngoc z notesem w ręku znowu zaczął przesłuchiwanie.

Mężczyzna wciąż panował nad sobą, a może ból sprawiał, że głos mu odmówił posłuszeństwa. Ngoc wściekał się i szarpał główkę szpilki.

Obydwaj wartownicy z całej siły przytrzymywali wyjącego i słaniającego się jeńca. Gdy wreszcie opadł wyczerpany i wyszeptał „Nuc", co po wietnamsku znaczy woda, Ngoc chwycił długopis,

ale z ochrypłego gardła więźnia wydostawały się tylko niezrozumiałe słowa. Na znak Ngoca jeden z wartowników chlusnął wodę w otwarte usta mężczyzny.

Woda orzeźwiła jeńca. Ngoc zaczął notować. Gdy więzień przerywał zeznania, Ngoc zbliżał palec do główki szpilki. To skutkowało. Po dziesięciu minutach mężczyzna przyznał się, że jest partyzantem Vietcongu.

Ngoc powiedział do niego kilka niemal przyjacielskich słów, i nagle, szybkim, zręcznym pchnięciem wbił mu szpilkę w dłoń. Partyzant jęknął i osunął się na blat stołu. Ngoc wytarł szpilkę o włosy swej ofiary i wpiął ją na powrót pod wyłóg bluzy. Potem odwrócił się i triumfalnie spojrzał na mnie.

ROBIN MOORE

SZTUCZNE SERCE

Dr Michał De Bakey ma brzydkie ręce, suche i sękate. Ale w blasku lamp sali operacyjnej sprawiają niezapomniane wrażenie. Podobne rękom pianisty, poruszają się sprawnie i szybko — niosą nadzieję życia. Dr De Bakey ma na swoim koncie tysiące operacji serca. Asystenci szpitala w Houston, którego De Bakey jest dyrektorem i gdzie wykonuje dziennie 12 operacji, nazywają go „tornadem Teksasu". Dr Bakey całe swoje życie poświęcił chirurgii. Bliski jest dzień, w którym jego dłonie nie znające zmęczenia, wyjmą z piersi człowieka żywe, chore serce i zastąpią je sztucznym. Stanie się to — jak zapewnia dr De Bakey — jeszcze zanim noga ludzka dotknie powierzchni księżyca.

— „To olbrzymie zadanie. Mnóstwo trudności natury technicznej musi być pokonane. W najbliższym 5-leciu problem sztucznego serca zostanie rozwiązany.

Serce to przedziwna pompa, ciągle pracuje. Od tego jak działa zależy nasze życie, kiedy zostaje uszkodzona trzeba ją naprawić, albo wymienić".

W lipcu 1963 r. dr De Bakey wszczepił po raz pierwszy sztuczne serce człowiekowi. W ten sposób przedłużył życie tego człowieka o 4 dni. Śmierć nastąpiła na skutek niewydolności pracy nerek i mózgu. Ten desperacki krok miał dla dr Bakey'a decydujące znaczenie. Dał mu pewność, że serce można zastąpić sztucznym

mechanizmem, i że ten mechanizm będzie działać.

Serce projektu dr De Bakey to półksiężycowaty worek, podobny kształtem do strąka fasoli. Wykonany z tworzyw sztucznych, po obu stronach zaopatrzony jest w klapy. Na całej swej długości łączy się z drugim workiem, który jest zbiornikiem powietrza i ma z boku pompkę. Przez klapę napływa do pierwszego worka krew i wypełnia go. Z kolei powietrze, wchodząc do drugiego worka, ciśnie na worek pierwszy i powoduje jego skurcz. Wtedy krew przechodzi przez klapę do aorty.

— Nie jest to jedyny typ sztucznego serca — objaśnia dr De Bakey — mamy jeszcze inne modele. Najważniejsze to wprawienie takiego serca w ruch, musi ono działać automatycznie, a więc musi mieć jakieś źródło energii.

W doświadczeniach przeprowadzanych na zwierzętach dr Bakey rozwiązał również i ten problem. Wczepił w mięsień sercowy cewkę, do której płynie prąd z drugiej cewki znajdującej się na zewnątrz. Prąd wywołuje skurcz mięśnia. Zwierzęta po usunięciu serca i wszczepieniu w zamian serca sztucznego, żyły 48 godzin. Nie tylko utrzymywały się na nogach, ale chodziły i piły pokarm płynny. W innym modelu bodziec elektryczny wywołuje urządzenie tranzystorowe wszczepione pod skórę i połączone z mięśniem za pomocą przewodu.

— „Jesteśmy na dobrej drodze, dokonaliśmy wielu doświadczeń na zwierzętach i wiemy, że sztuczne serce pracuje i zapewnia cyrkulację krwi. Z chwilą kiedy udoskonalimy nasz aparat tak, że zwierzę ze sztucznym sercem żyć będzie kilka dni, wówczas dopiero wyłonią się nowe trudności natury biologicznej, które trzeba będzie rozwiązać. Dochodzi jeszcze sprawa samej pompy. Musi ona nie tylko regularnie tłoczyć krew, ale i odpowiednio do potrzeb organizmu, ten strumień krwi regulować.

Dlaczego dr Bakey nie próbuje przeszczepić serca, tak jak przeszczepia się dziś inne narządy? Można żyć z jedną nerką — mówi dr Bakey — oddając komuś drugą swą nerkę. Ale gdzie szukać dawcy serca?

THE BEATLES

Ringo Starr — najmniejszy, niebieskooki, zadumany. Nosi liczne obrączki. — „Wkładam je na palce, bo nie mogę umieścić na nosie" — mówi. Jego właściwe imię brzmi Richard Starchey. Ring—to obrączka po angielsku, stąd jego imię w zespole. Paul Mc Cartney, najładniejszy z chłopców, ma 23 lata. Zawsze starannie ubrany — marynarka zapięta na cztery guziki, sztywny kołnierzyk, krawat. Jego włosy choć długie, są jednak krótsze niż u tamtych.

John Lennon, o twarzy czerwonej i włosach koloru kasztana, ma bardzo wąskie spodnie i welwetową kurtkę.

Wprawdzie Beatlesi twierdzą, że w ich zespole wszyscy są równi i nikt nie przewodzi, to jednak ostatnie słowo zawsze należy do Johna, jego głos decyduje. Obaj z Paulem piszą słowa do piosenek. Poza tym John jest autorem dwóch książek zawierających wesołe opowiadania. Sam swoje książki ilustrował, a 250-tysięczny ich nakład rozszedł się natychmiast. Chociaż John i Paul zarabiają najlepiej, to Ringo i George w ciągu ostatnich dwóch lat, osiągnęli wielkie bogactwo. Wystarczy wspomnieć, że Ringo ma 4 samochody, między innymi Rolls-Royce'a. Na zamówienie nabywcy samochód jest cały czarny i przypomina raczej karawan. Karoseria inkrustowana hebanem, siedzenia, zderzaki, koła, oprawa matowych szyb — wszystko jest czarne.

George Harrisson to indywidualista. Nosi niebieskie dżinsy, barchanowe marynarki, obuwie w stylu cow-boy. Jest najmłodszy, nie skończył jeszcze 20 lat. George jest pierwszym gitarzystą zespołu, gra Bacha i zachwyca się Segowią. Posiada 8 gitar i wciąż marzy o tym, aby jego gitara otrzymała kiedyś nazwę gitary Harrissona, tak jak skrzypce, na których grał Stradivarius. Ale George jest także realistą, wie, że kariera Beatlesów nie może trwać długo, dlatego zamierza pozostać w Londynie i założyć biuro handlowe. Zawsze interesuje się finansami zespołu, pilnuje kontraktów i wysokości zawieranych umów.

Język angielski, jakim mówią Beatlesi, nie ma bynajmniej akcentu oxfordzkiego i zdradza ich pochodzenie. Ringo, Paul i George urodzili się i wychowali w Liverpool, w jednym z najbrzydszych, i największych miast Anglii. Pochodzą z ubogich rodzin. Poza Georgem żaden nie skończył szkoły. Ringo nawet nie śnił o liceum. Jego rodzice nie opuścili dotąd Dingle — najbardziej ponurego przedmieścia Liverpoolu. Trudne dzieciństwo chłopca i dziś można wyczytać z jego oczu.

Beatlesów można nazwać neapolitańczykami W. Brytanii. Ich rodzinne miasto jest portem, do którego zawijają statki różnych bander. Przyjeżdżają tu marynarze z całego świata, szukają rozrywki, kochają piosenki, tańczą rock-roll'a. Niedaleko stąd do Irlandii, ojczyzny ludzi pogodnych i wesołych. Ubodzy mieszkańcy Liverpoolu jedzą ziemniaki i śpiewają jak w tej piosence, którą ułożyli Beatlesi — „you eat potatoes"...

Nazwali się Beatles na wzór kwartetu amerykańskiego The Crickers — to znaczy świerszcze. Początkowo nosili nazwę Silver Beatles — leśne żuki, teraz po prostu Beatles — żuki.

Pierwszy raz poza granicami Anglii wystąpili w Hamburgu. Może podobieństwo portowego miasta, sprawiło, że wybór ich padł na Hamburg. Podobne miasto, podobny rytm życia, marynarze, whisky, rock, piosenki...

Zarobki w Liverpool wynosiły 25 szylingów na głowę i coca-cola bez ograniczeń! Śpiewali wówczas tylko w małych barach i małych klubach.

O Hamburgu Beatlesi mówią chętnie. To ich pierwsze kroki, pierwsze wspomnienia. Wtedy nosili jeszcze krótkie włosy. Tylko John nosił dłuższe i chodził na kursy w szkole sztuk plastycznych. Niebawem chłopcy zaczęli go naśladować, chcieli być inni niż ogół, ekstrawaganccy.

— „Mówiono nam, że niemieccy fryzjerzy strzygą mężczyzn bardzo krótko. Nie znając języka, trudno było tłumaczyć, że taka fryzura nam nie odpowiada. Wobec tego woleliśmy, żeby nasze włosy rosły. Dziś długie włosy, to nasz przywilej" — mówią Beatlesi.

Chłopcy lubią swój zawód, lubią swoje piosenki. Spośród piosenkarzy najlepiej odpowiada im Marino-Marini. Spośród kobiet kochają Sophię Loren, Claudię Cardinale i wszystkie dziewczęta, których serca podbili, dziewczęta z Nowego Jorku i Amsterdamu, z Francji, Portugalii i afrykańskiej Tunezji, piękne dziewczęta z Haiti. Wiedzą, że im zawdzięczają swoją sławę. One pierwsze odkryły Beatlesów i zostały ich wielbicielkami!

Ale Ringo jest inny niż tamci, nieśmiały i jakby niezaradny. W tym tkwi jego urok, którym fascynuje sentymentalne dziewczyny. Ringa kochają najbardziej. Jakaś gorąca adoratorka, uzbrojona w nożyczki, obcięła mu kosmyk włosów na przyjęciu w ambasadzie angielskiej, podczas pobytu w Nowym Jorku. Wtedy to pisał „Life" — „W 1776 roku Anglia utraciła amerykańskie kolonie. Dziś odzyskali je Beatlesi". — Sukces jaki odnieśli, podczas tego 4-tygodniowego pobytu w Ameryce, był olbrzymi, a impresario Beatlesów, Bruno Epstein, otrzymał propozycję odstąpienia zespołu za sumę 150 tysięcy funtów szterlingów. Proponujący ten „intratny interes" spotkał się z odmową, jakiej mu udzielił Epstein. A Beatlesi zawładnęli do reszty sercami amerykańskich dziewcząt!

Gdziekolwiek pojawią się Beatlesi wszędzie towarzyszy im szalony entuzjazm, rzec można zbiorowa histeria. Tysiące dziewcząt oczekują na lotniskach, okupują teatry i hotele. W Amsterdamie 150-tysięczny tłum czekał na mostach i wzdłuż kanałów na przejazd chłopców motorówką. W Edynburgu, podczas jednego z występów zespołu, 18 autobusów musiało zmienić trasy. W Nowym Jorku policja konna rozpędzała tłum młodych wielbicieli.

Psycholog Vance Packard mówi, że Beatlesi są wcieleniem buntu młodych przeciw wszystkiemu co dorosłe — i w ten sposób tłumaczy zjawisko tego zbiorowego szaleństwa. Ale nie tylko młodzi ulegają czarowi Beatlesów. Marlena Dietrich mówi o nich — „Są cudowni"! — a pani Roosevelt — „nie widziałam jeszcze nigdy czegoś tak podniecającego".

Beatlesi nie stworzyli wprawdzie nowego stylu, ale jak mówi wydawca ich piosenek Dick James: — „zasadnicza różnica tkwi w wykonaniu. Można z różnych części skonstruować samochód, który będzie dobrze służył długie lata, ale jeśli każda część będzie doskonała, w najwyższym gatunku, wówczas powstanie Rolls-Royce. W interpretacji Beatlesów każdy utwór jest doskonały!"

Oprac.: M. TYMOWSKA

— Moja teściowa zachorowała, zjadła loda wyzdrowiała — skanduje co niedzielę wiecznie zapluty Gienio Obleśniak.

Gruby Maryś skanduje inaczej:

— Lody Pingwin na śmietanie, kto obliźnie temu s..... — końcówka trochę nieparlamentarna, ale Maryś wcale się nie wstydzi; rechoce na całe gardło.

Trudno dociec, na jakiej zasadzie pingwiniarze handlują tym świństwem (mam na myśli nie poezję reklamową, a lody), kto im na to daje pozwolenie.

Ostatnim, buszującym na stadionach gatunkiem handlarzy są „dropsiarze".

Smyk ma siedem, najwyżej osiem lat. Ledwo odrósł od ziemi, a już bierze się do handlu. Zawodzi piskliwym głosikiem u podnóża stromych wałów:

— Dropsy miętowe, kwaśne, owocoweee!...

Towar trzyma się w parcianej, bardzo starej teczce; jest umorusany, lichutko odziany i peszy się nieco, gdy zaczynam z nim rozmawiać.

— Po ile miętowe?

— Po złotemu.

— Owocowe?

— Po złotemu.

— Jak leci?

Wzruszenie ramion.

— Kto ci pozwala handlować?

Milczenie.

— Matka wie o tym.

— Wie — powiada brzdąc wbijając zakłopotany wzrok w chudе, zakurzone nogi.

— Skąd wziąłeś pieniądze na zakup tych dropsów?

— Od mamy — mówi.

— To pewnie pieniądze, które zarobisz, będziesz musiał mamie zwrócić?

Potakuje głową. Podchodzi do niego dziesięcioletni smyk, płaci złotówkę i odchodzi z paczką owocowych. Dwóch starych kibiców patrzy na „dropsiarza" z boku; z uznaniem kiwają głowami.

— Ma łeb do interesu — stwierdza ten niższy. — Będą z niego ludzie.

4.

Wszyscyśmy słyszeli, że stadion przy Alei Unii otrzyma nowe trybuny. Bardzo to pięknie. Już sobie wyobrażam, jakie będą okazałe, wygodne i estetyczne. Podczas meczu, który Wam relacjonuję (za łodziarsko-dropsiarskie dygresje najmocniej przepraszam. W początkowych zamiarach miałem tylko sprawozdanie z tego niezwykle interesującego spotkania), ci znudzeni przebiegiem pojedynku, popatrywali z zachwytem na pierwsze zarysy nowej inwestycji i cmokali rozkosznie, z podziwem.

W czasie przerwy rozważania o trybunach były niemal tak modne jak komentowanie gry łódzkiej drużyny: wydawać się mogło, że w kibicach istnieje przekonanie, iż z chwilą ukończenia robót, jedenastka nasza zacznie lepiej kopać i odnosić wspaniałe zwycięstwa.

Tak, w czasie przerwy rozważania o trybunach były modne. Ciekawe, medytowałem, czy prócz trybun zbuduje się wreszcie ustępy. Pytałem nawet o to jednego porządkowego, lecz nie wiedział. Dyrekcja stadionu chyba wie, ale on nie wiedział. Spytałem go, co trzeba obecnie zrobić w wypadku... Czy może jest jakaś namiastka tych rzeczy... Też nie wiedział, działo się to jednak podczas przerwy, więc rozwiązanie problemu nastąpiło niechybnie, przy udziale napompowanych cienkim winkiem kibiców; poniżej wałów, pod siatkami, potężny obwód stadionu zamienił się w całej swej długości na kloakę. Ciągle ktoś truchcikiem zbiegał z góry by się włączyć w tę orbitę i odetchnąć. Nieliczne, spacerujące pod wałami panie odwracały wstydliwie głowy, a jeden towarzyszący paniom mężczyzna usiłował nawet protestować. Dowiedziałem się od niego przypadkiem, że tam w dali, na skraju stadionu, znajduje się „coś jak gdyby"... Znalazło się rzeczywiście, ale wchodzić tam trzeba w kaloszach.

5.

W drugiej części meczu wśród widowni krążyły dość dziwaczne plotki. Dużo mówiono na temat nieudolności trenera Forysia, złego składu zespołu i marnej kondycji łodzian; padały oszczerstwa, że piłkarze ŁKS włóczą się po knajpach, że za czasów trenera Króla rzeczy takich nie bywało. Opowiadano także niestworzone brednie o kaperownictwie, które rzekomo rozpleniło się obficie siejąc spustoszenie w wielu ligowych drużynach. Ale najwięcej złośliwości dotyczyło dwóch zmagających się właśnie na boisku klubów, z których jeden — według powszechnej plotki — mógł być przekupiony, a drugi — przekupujący. Inspiracją do tych niecnych podejrzeń była pierwsza, w złym stylu zdobyta i możliwa do obrony bramka.

Podejrzenia były bezpodstawne. ŁKS przeważał. W polu i pod twierdzą przeciwnika. Więcej strzelał i dokładniej podawał. Kosider jak krzyczeli mali chłopcy z papierosami w ustach — kosił, Sadek — sadził, a Suski — o nim mali chłopcy nie mówili, ale, rzec by można, dawał susy; i on to właśnie, w pięćdziesiątej minucie gry, po opętańczym spacerze piłki przez połacie boiska, po nerwowych chwilach wyczekiwań, on to właśnie rozładował atmosferę niepewności strzelając znienacka, nieuchronnie, jak przystało na wielkiego piłkarza.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

RYSZARD DOROBA

JEDEN DZIEŃ W SIERPNIU

— Wstawaj, mieszczuchu — powiedział Michał.

Podniósł się lekko i rozprostowywał ramiona. W jednej ręce trzymał zdjętą przed chwilą koszulę, poznaczoną zaciekami potu, w drugiej emaliowany kubek do wody. Pod opaloną na brąz skórą przesuwały mu się rytmicznie wydatne mięśnie. Wyglądał jak grecki zawodnik olimpijski z ryciny w podręczniku historii starożytnej i nie przypominał Andrzejowi tego Michała, którego pamiętał sprzed kilku lat. Wtedy Michał był szczupłym młodzieńcem i do późna w noc siedział nad książką w kącie za szafą w jego pokoju, obejmując dłońmi głowę.

— Wstawaj, wstawaj — powtórzył.

Andrzej ociągał się. Cienie wierzb wyznaczały przyjemną strefę chłodu. Leżał na wznak z rękami pod głową i patrzył w pogodne, błękitne niebo, po którym leniwie przesuwały się białe owce obłoków. W wysokiej trawie pod wierzbami cykały pasikoniki i bzykały użółcone pyłkiem kwiatów pszczoły. Zmęczone ciało ciążyło ku chłodowi ziemi, wyczuwalnemu całą powierzchnią wolno stygnącej skóry.

Michał bez słowa rzucił koszulę i kubek na ziemię, zdjął z gałęzi wierzby kosę i ruszył w stronę falującej ściany pszenicy. Andrzej niechętnie podniósł się. Słońce stało już wysoko, zwiastując porę drugiego śniadania, ale na drodze od wsi nie było widać nikogo. Rad nie rad powlókł się za Michałem, z pasją rozgniatając starymi, wyciągniętymi gdzieś z rupieciarni bucioramі strzelające pod stopami rżysko. Zanim doszedł do Michała, tamten zdążył już naostrzyć kosę i teraz machał nią zawzięcie, pozostawiając za sobą zwałowaną pszenicę. Andrzej schylił się i z westchnieniem zaczął zbierać zżęte pasma pszenicy w garście, śpiesząc się odrzucał je za siebie, ale nie mógł dogonić Michała, który z regularnością maszyny, krok za krokiem wgryzał się w ławę zboża. Doszedł do końca zagonu i wracając z zarzuconą na ramię kosą krzyknął do Andrzeja z uśmiechem:

— Uważaj na pięty.

Andrzej starał się przyspieszyć jeszcze ruchy rąk, pomagał sobie nogami, ale mimo to posuwał się wolno naprzód. Strużki potu spływały mu z czoła do oczu, przylepiały koszulę do pleców i piersi; zadrapana źdźbłami pszenicy skóra na rękach i szyi piekła boleśnie. Na nic to się jednak zdało. Po kilkunastu minutach usłyszał za sobą blisko metaliczny dźwięk kosy Michała:

— Dogoniłem cię jednak.

Michał zatrzymał się, oparł o wbitą w ziemię kosę i spoglądał na niego drwiąco. Andrzej jednak udawał, że nie dostrzega w jego spojrzeniu nic takiego, co wymagałoby od niego tłumaczenia się. Był setnie zmęczony i nie chciało mu się podejmować z Michałem utarczki słownej. Stał bez słowa, obcierał wierzchem dłoni czoło i patrzył na Michała niewidzącym wzrokiem.

Michał dał za wygraną. Położył kosę na rżysku, wyprzedził Andrzeja o kilka kroków, pochylił się i zbierał w milczeniu zwałowaną podcięciem kosy pszenicę. Andrzej uczynił to samo, nie spiesząc się już teraz zbytnio, bo Michał wziął na siebie większą część jego zadania.

Kiedy ukończyli podzieloną wspaniałomyślnie przez Michała między nich obu pracę i szli razem ku miejscu, gdzie Michał zostawił kosę, Andrzej spoglądał coraz niecierpliwiej w stronę wsi, łykając obficie napływającą do ust słoną ślinę. Zenka wciąż nie pojawiała się. Ku wsi zdążały wracające z pastwisk stada krów, ciągnąc za sobą szare chmury pyłu. Był to znak, że południe już niedaleko.

Widocznie Michała zirytowało też czekanie na spóźniony posiłek, bo zdecydował:

— Przejdziemy jeszcze raz i zbieramy się do domu.

Andrzej przyjął to z ulgą. Pora posiłku i wypoczynku wydała mu się bliska. Odczekał, aż Michał zrobi parę ruchów kosą i pochylił się znowu ku ziemi.

* * *

Zenka jednak nie przyszła. Wracali do wsi trochę źli i trochę zaniepokojeni. Zdarzyło się po raz pierwszy w te żniwa, żeby Zenka nie przyniosła im śniadania. Bywało, że zmarudziła trochę, zagadawszy się ze spotkaną po drodze znajomą dziewczyną, albo — co trafiało się częściej — zatrzymana przez któregoś z miejscowych chłopaków, ale przecież przychodziła wreszcie, kucała, nie zadając sobie trudu z zasłanianiem kolan, wyciągała z koszyka wiejskie przysmaki i układała je na czystej szmatce, rzucając na Andrzeja uważne, to kpiące, to zalotne spojrzenia.

Odemknęli skrzypiącą furtkę i weszli na podwórze. Hitler zaszczekał krótko, ale poznawszy swoich urwał i machał przyjaźnie ogonem.

— Hitler, nie denerwuj się — przywitał go Andrzej.

— Mówiłem ci już tyle razy, że na tego psa woła się Pies. Po prostu Pies — skarcił go Michał.

Na podwórzu nie było nikogo. Stodoła miała otwarte na przestrzał wrota, a na klepisku buszowało bezkarnie stado kur. Michał oparł kosę o ścianę domu i wszedł do sieni. Andrzej trzymał się z tyłu, nie chcąc rzucać się w oczy. Wrócili z pola nie wołani i wolał, żeby Michał pokazał się pierwszy.

— Dlaczego Zenka...? — usłyszał Andrzej głos Michała.

Michał urwał pytanie. Nikt mu nie odpowiadał. Zaintrygowany Andrzej teraz zdecydował się wejść. W kuchennej izbie byli wszyscy domownicy. Zadora siedział przy stole, podpierając głowę rękami, Zadorzyna miała łzy w oczach. Nawet Zenka, siedząca na małym stołeczku przy kuchni, miała minę mniej pewną siebie, niż zwykle.

Michał spojrzał pytająco na ojca.

— Co się stało? — zapytał.

— W Warszawie jest powstanie — odpowiedziała mu matka i zapłakała głośno.

— Skąd wiecie?

— Wiemy. Zenka była w gminie i wszyscy tam o tym tylko mówią. Później przyjechał z miasta Franek Kalinowski i powiedział to samo. Zaczęło się wczoraj — odezwał się Zadora.

— Wojtek już pewnie nie wyjdzie z tej Warszawy. Mówiłam mu tyle razy, żeby wrócił do nas na wieś. Starczyłoby tu przecież i dla niego. Przeczekałby jakoś do końca wojny — zawodziła Zadorzyna.

— Uspokój się — powiedział Zadora. — Nie wszyscy mogą czekać.

Po jego słowach zapanowało długie milczenie. Zadorzyna pochlipywała cicho, a Zadora siedział nieporuszony, patrząc w okno. Michał nie odezwał się jeszcze ani słowem. Usiadł obok Zadory przy stole i spoglądał przez szybę na widoczne za oknem gałęzie bzu.

Andrzej nie bardzo wiedział, jak przyjąć zasłyszaną wiadomość. Był przyzwyczajony do łez Zadorzyny, wylewanych obficie przy lada okazji. Zastanowiło go jednak ciężkie milczenie obu mężczyzn. Wiedział, że nic to dobrego nie wróży. Od dawna przywykł milczenie mężczyzn traktować poważniej od płaczliwego zawodzenia kobiet, gdyż wielokrotnie doświadczył, że było ono wyrazem spraw groźnych. Uderzyło go również to, że Zadorzyna jakby zapomniała, że zbliżała się pora obiadu — kuchnia była zimna, palenisko puste, a w izbie nie unosiły się zwykłe o tej porze zapachy. Siedziała na łóżku, na nie odgarniętej pościeli, ocierała palcami spływające po policzkach łzy, jej plecami wstrząsało co chwila bezgłośne łkanie. Nawet nie spojrzała w stronę kuchni.

* * *

Po spóźnionym obiedzie, który ugotowała Zenka, gdyż Zadorzyna nie była w stanie zająć się codziennymi obowiązkami gospodyni, poszli znowu w pole. Towarzyszyła im Zenka, która sama wyraziła chęć pomożenia im — po raz pierwszy w te żniwa. Zdziwiło to Andrzeja, ponieważ Zenka nigdy nie kwapiła się do pracy, ani w polu, ani w obejściu, ani przy kuchni. Tę jej niechęć do jakiegokolwiek wysiłku zaprobowali wszyscy członkowie rodziny, lecz każdy z innych powodów — matka dlatego, że uważała Zenkę za nazbyt delikatną i słabowitą, ojciec dlatego, że nie wierzył, aby mogła się do czegoś przydać. Michał zaś po prostu dlatego, że nie chciał narażać się matce i nie lubił mieć Zenki w pobliżu siebie. Denerwowała go jej paplanina, zmienność nastrojów — od bezmyślnej wesołości do zawziętej złości i nieuzasadnionych smutków.

Andrzej wiedział o tym i sądził, że Michał nie zechce wziąć jej z sobą, ale widocznie nie było mu dzisiaj w głowie zajmować się Zenką. Poszli więc we trójkę, a Zenka — świadoma niespodzianki, jaką im dzisiaj swoim postępowaniem zgotowała — jeszcze bardziej niż zwykle, starała się zwrócić na siebie ich uwagę.

— Jak wam smakował obiad? — zapytała z uśmiechem, kiedy znaleźli się na drodze.

— Owszem, smakował — przytaknął skwapliwie Andrzej.

— Nie był zbyt wymyślny. Nie za bardzo się przy nim napracowałaś. Kartofle ze zsiadłym mlekiem nie świadczą jeszcze o twoich babskich zdolnościach — powiedział zgryźliwie Michał, ocknąwszy się ze swych myśli.

Zenka spojrzała na niego ze złością i szła już nadąsana, nie odzywając się ani słowem. Andrzejowi ciążyło milczenie, gdyż i Michał nie odzywał się, ale nie mógł wymyślić nic takiego, co mógłby powiedzieć bez obaw, że zabrzmi to niepotrzebnie i głupio.

Kiedy doszli wreszcie do napoczętej przed południem pszenicy, Michał bez dłuższych wstępów kazał Zence zbierać za nim zboże, a Andrzejowi wiązać je w snopy powrósłami, przygotowanymi rano przez Zadorę.

Zenka zaprotestowała:

— Dlaczego nie może robić tego Andrzej?

— Dlatego, żebyś nie pozadzierała sobie paznokci, którym poświęcasz tyle czasu.

Zenka skapitulowała. Postępowała za Michałem, który wpadł od razu w rytm i posuwał się do przodu jak automat. Szło jej to jeszcze mniej składnie, niż Andrzejowi, ale zacięła się i milcząc odrzucała na bok zebrane garście pszenicy.

Andrzej — raniąc sobie do krwi skórę palców przy paznokciach, starał się nadążyć za nimi z wiązaniem, aby być blisko Zenki i pomóc jej, gdyby została za bardzo w tyle za Michałem. Podkładał powrósło, ściągał silnie rękami jego końce, przyciskając snopy kolanem, kręcił je i podtykał. Związawszy jeden snop podbiegał do następnej garści i zaczynał tę czynność od nowa. Utrzymywał się tuż za Zenką i od czasu do czasu rzucał spojrzenie na jej zgiętą do przodu postać. Prowadził wzrokiem po jej szczupłych nogach, od obutych w stare pantofle stóp, aż po widoczne za okrągłymi podwiązkami białe płaszczyzny skóry, nie zakryte ściągniętą w górę kretonową, wyblakłą spódnicą, opinającą jej uda. Wewnętrzne linie jej nóg zwężały się ku górze, aby zbiec się gdzieś wyżej, poza zasięgiem jego wzroku.

Wyrzucał sobie to patrzenie na nią, ale wzrok jego bezwiednie kierował się w jej stronę, kiedy podnosił głowę znad zawiązanego snopa i prostował plecy. W gruncie rzeczy rad był, że może przyglądać się jej nogom bez obawy, że pochwyci jego spojrzenie. Zenka nigdy wprawdzie nie szczędziła mu widoków co bardziej wstydliwych miejsc swego ciała, ale zawsze wtedy patrzyła mu w oczy i uśmiechała się drwiąco, zawsze starała się dostrzec, jakie to sprawia na nim wrażenie. Przyłapany przez nią uciekał wzrokiem w popłochu, nie mogąc powstrzymać krwi, która napływała mu do twarzy, barwiąc ją — czuł to dobrze — niemęskim rumieńcem. Wstydził się tego rumieńca i dostrzegalnego popłochu, czuł się upokorzony drwiącą przewagą Zenki, jej ironicznym spokojem. Teraz nie mógł odmówić sobie patrzenia na nią, gdyż wiedział, że Zenka jest za bardzo zmęczona i otępiona wysiłkiem, aby odwrócić głowę za siebie. Brał teraz odwet za wszystkie te chwile, kiedy musiał znosić jej drwiący uśmiech, nie mogąc zdobyć się na wytrzymanie jej spojrzenia.

Pracowali tak aż do zachodu słońca, nie odzywając się do siebie. Zenka spisywała się nadspodziewanie i Andrzej tylko parę razy mógł jej pomóc. Spoglądała wtedy na niego krótko, oczami pozbawionymi wyrazu, bez wdzięczności, ale i bez ironii. Andrzej po raz pierwszy chyba od miesiąca nie unikał jej wzroku, patrzył na nią spokojnie, jak się patrzy na człowieka, który nie kryje w oczach nic, czego trzeba obawiać się, unikać lub nie dostrzegać.

Nie unikał jej spojrzeń również i wtedy, kiedy całą trójką przystąpili do składania w mendle zżętej w ciągu całego dnia i powiązanej w snopy pszenicy. Znosząc do mendla odległe snopy często mijał się z Zenką — która zwykle chodziła w tę samą część pola — i spoglądał na nią otwarcie. Zenka odwzajemniała jego spojrzenia i na jej twarzy ukazywał się nikły cień uśmiechu. Zdarzało się również, że jednocześnie obkładali mendel snopkami, ocierając się nieomal ramionami. Kiedyś w takich przypadkach Andrzej spieszyłby się, żeby jak najprędzej móc się od niej oddalić, teraz jednak celowo zwalniał ruchy i marudził przy mendlach. Bliskość Zenki nie działała na niego onieśmielająco. Dziwił się sobie, ale nie odczuwał w jej pobliżu obezwładniającego popłochu. Jego miejsce zajęła natomiast spokojna chęć przebywania blisko niej, patrzenia na nią, pomagania jej, bodaj podpierania jej osuwającego się snopka swoim.

Doszło do tego, że — kiedy musieli wiązać jeszcze skoszoną przed południem i nie związaną pszenicę — Andrzej pracował wspólnie z Zenką. Ona tylko rozkładała powrósła i kładła na nie garście, on zaś sam je wiązał. Kiedy Zenka zabierała się do wiązania pierwszego snopa, Andrzej pochylił się i bez słowa przejął z jej rąk końce powrósła. Zenka spojrzała mu uważnie w oczy i milcząc zaaprobowała ten podział pracy. Andrzej myślał, że Michał zrobi na ten temat jakąś ironiczną uwagę, oczekiwał jej nieomal z niepokojem, ale on jakby tego nie spostrzegł i pracował w milczeniu.

Ostatni mendel stawiali prawie po ciemku. Niebo, początkowo oblane czerwienią zachodu, później z wolna pozbawiające się rozrzutnego przepychu barw, poszarzało i ściemniało. W gałęziach przydrożnych wierzb gęstniał cień, nad niedalekimi łąkami unosiła się ciemniejąca mgła oparów. Stada ptactwa z szumem skrzydeł płynęły w stronę rozciągającego się na horyzoncie lasu, aby w koronach drzew zapaść w czujny sen.

W końcu i oni ruszyli do domu — pierwszy ciągle nieobecny myślami Michał z kosą na ramieniu, za nim zmęczona i przygaszona Zenka i Andrzej pełen zadowolenia z jej przyjaznej obecności, mąconej tylko od czasu do czasu niejasnym niepokojem, spowodowanym wspomnieniami wydarzeń dnia.

(FRAGMENT POWIEŚCI)

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

A KIEDY MI SKARPETKI...

A kiedy mi skarpetki cerowała matka —
W jej oczach były światła niebieskie nad podziw —
Bóg przez ucho igielne leciutko przechodził
I pomagał w szyciu — cera była gładka.

Gdy mnie w progu żegnała — uderzył czas męski —
Zygzak dłoni rozchylał mi przestrzeń na rozcież,
Bóg zaś w obie wpisane na powietrzu kreski
Przybijał pracowicie gwoździki swe ostre.

Jedne wyrwał, wbił drugie... Wszystko jest jak trzeba —
Czas trzepocze się przodem na kształt kuropatwy,
Wciąż dokonuje cudu rozmnażania chleba —
Cud jak to cud — raz trudniej przyjdzie, a raz łatwiej.

Światła oczu są kruche — zbutwiały płomyki.
Pięty dzieci znowu świst opukuje stary...
Przestrzega, bym im kazał wziąć ciepłe szaliki
Bóg, którego przekreśla me wyznanie wiary.

Nad czym pracują pisarze?

ZOFIA LORENTZ

Szybkie rozejście się mojej powieści „Daleko od jabłoni", wydanej w ub. roku przez wydawnictwo „Iskry" w 20.000 egzemplarzy, utwierdziło mnie w przekonaniu, że podjęte w niej zagadnienie tak zwanej trudnej, a nawet przestępczej młodzieży i konfliktu międzypokoleniowego nadal jest jak najbardziej aktualne i nie straciło nic ze swej ostrości i, że wobec tego kontynuowanie tej tematyki ma swój społeczny sens. Toteż i następną powieść, na którą zawarłam umowę z Wydawnictwem Łódzkim, poświęciłam tej samej problematyce, pogłębionej i rozszerzonej o zbierany od dłuższego czasu materiał żywy, to znaczy brany wprost z bieżącego życia. Wątek dramatyczny tej powieści, noszącej tytuł „Może się jeszcze odmienić", oparty właśnie na autentycznym wydarzeniu, zafascynował mnie tak dalece, że wzięłam go raz jeszcze na warsztat, nadając mu już jednak formę sceniczną. Niezależnie więc od powieści powstała sztuka teatralna. Wydawało mi się, że zdołam nią zainteresować nasze teatry, ale to niełatwa sprawa! Sztuka jest realistyczna i porusza problem aktualny, lecz drażliwy, trzeba by więc pewno trochę odwagi, może trochę ryzyka, aby ją wystawić. Co teraz piszę? Przedwcześnie o tym mówić. Na razie wyjeżdżam nad morze, a ponieważ dobrze mi się pracuje poza Łodzią, sądzę, że zacznę tam pisać nową powieść, do której mam już zebrany materiał. Sądzę też, że obserwacje nadmorskie wzbogacą moje doświadczenie, a zbieranie ich w blaskach lipcowego słońca (oby!), pozwoli na bardziej optymistyczną ocenę spraw tego świata...

SPÓŹNIONE WSPOMNIENIA

Dnia 3 maja br. zmarł w Wiedniu w wieku lat 76 Otto Forst de Battaglia. O jego śmierci dowiedziałem się w czasie pobytu za granicą i nie mogłem od razu, żeby tak rzec: na gorąco, w prasie polskiej o nim napisać. Po powrocie do kraju stwierdziłem, że jedynie „Życie Warszawy", piórem swego korespondenta, Stanisława Frybesa, poświęciło kilka ciepłych zdań pamięci tego człowieka. Oto jeszcze jeden dowód więcej, że „Życie Warszawy" jest dobrą gazetą, a ludzie redagujący tę gazetę i pisujący w niej rozumieją, co znaczy dobra, szybka i źródłowa informacja. Nieraz aż trudno pojąć, z jaką obojętnością odnoszą się nasze gazety codzienne, a i czasopisma tygodniowe do przeróżnych faktów kulturalnych, zachodzących na świecie. Gdzie się podziały te czasy, gdy o czymś, co zaszło ubiegłej nocy, czytało się w prasie już nazajutrz rano! Dziś mało komu zależy na obfitej informacji, choć świat i dzieje nieustannie się jej od nas domagają.

Kim był zmarły w początkach maja Otto Forst de Battaglia? Dyplomatą, historykiem dziejów, znawcą zagadnień genealogicznych, specjalistą od literatury niemieckiej, francuskiej i polskiej. Pisywał uczone dzieła i drobne artykuły w prasie. Należał do częstego w krajach zachodnich typu profesorów, którzy nie stronili od pisania w gazecie. Nasi profesorowie niechętnie zabierają głos na łamach prasy i mają za złe tym swoim kolegom, którzy się do tego garną. Pokutują tu jakieś przedpotopowe poglądy, że uczony degraduje się, zniżając swój podniebny lot do poziomu codziennej gazety. Cóż za konserwatyzm w tak postępowym wieku.

Otto Forst de Battaglia, urodzony 21 września 1889 roku, pochodził z rodziny polsko-węgierskiej, ale na dobre zadomowił się w Austrii. Mieszkał w Wiedniu całe życie (wyjąwszy okres po wchłonięciu Austrii przez Rzeszę Niemiecką, gdy Battaglia schronił się do Berna szwajcarskiego, gdzie współpracował z ambasadą polską w czasie wojny i po wojnie), w Wiedniu przy Möllwaldplatz miał swoje piękne mieszkanie, pełne książek i jedyny na świecie tych rozmiarów zbiór kukiełek-belzebubów, reprezentujący folklor wielu krajów, w tym również Polski. W r. 1959 złożyłem siedemdziesięcioletniemu już wówczas profesorowi wizytę w jego wiedeńskim mieszkaniu. Piliśmy wspaniale przyrządzoną herbatę, gdyż Otto Forst de Battaglia kultywował polski styl życia i polskie obyczaje. Był przy tym znakomitym znawcą kuchni i smakoszem. W jego obszernej bibliotece znajdowały się obfite zbiory polskich czasopism przedwojennych („Pion", „Wiadomości Literackie" i inne), pomnażane i wzbogacane kompletami periodyków powojennych. Na półkach bibliotecznych stały powieści wielu polskich pisarzy (Reymonta, Struga, Kaden-Bandrowskiego), dedykowane ich właścicielowi. Bowiem Battaglia znał świetnie język polski i pisał wiele o literaturze polskiej. Z tamtego czasu przypominam sobie jego ciekawe studium o „Nocach i dniach" Marii Dąbrowskiej, ogłoszone w zurykiej gazecie „Die Tat".

Z licznych prac historycznych Battaglii, które obudziły duże zainteresowanie w świecie naukowym, należy wymienić jego dzieło „Stanisław August Poniatowski i upadek dawnego państwa polskiego". Wspomnijmy nawiasowo, że dziełem tym zainteresował się bardzo sam Tomasz Mann. Otto Forst de Battaglia pisał również o królu Janie Sobieskim i jego odsieczy wiedeńskiej, o stosunkach kulturalnych austriacko-polskich, o Zygmuncie Krasińskim i wielu innych postaciach i problemach z naszej historii. Ostatnim większym jego dziełem przed śmiercią były dwie monografie: jedna poświęcona życiu i twórczości Karola Maya, druga — Johannowi Nestroyowi. Otto Forst de Battaglia udowadnia, że przodkowie Johanna Nestroya, znakomitego austriackiego komediopisarza, pochodzili z Polski. Tak sobie myślę, że rzecz o Nestroyu powinno się właściwie przełożyć na język polski i wydać u nas w kraju. Na pewno obudziłaby zainteresowanie nie tylko w świecie teatralnym.

Rzeczy pisane przez Battaglię odznaczają się głębokim ujęciem tematu, popartym źródłowym materiałem dokumentacyjnym. Wiedza Battaglii była rozległa, czytał swobodnie w pięciu językach europejskich, a pisał biegle po niemiecku, francusku i po polsku. Był to zarazem człowiek o dużym poczuciu humoru zarówno w życiu, jak i na kartach swoich książek. Pisał z temperamentem, nie stronił od anegdoty, chętnie wdawał się w polemiki i utarczki ze swoimi antagonistami. Mówiono o nim: grand-seigneur europejskiego formatu. A Franz Theodor Csokor, obecny prezes austriackiego PEN-klubu, nie zawahał się nazwać kiedyś Battaglię „polskim Erazmem".

Oczywiście, nie ze wszystkimi ocenami i propozycjami światopoglądowymi Battaglii możemy się zgodzić. Jako katolik i konserwatysta ferował oceny literackie i polityczne, budzące niejednokrotnie rewelacyjne sprzeciw w kołach lewicowych. Nie zmniejsza to jednak w niczym jego zasług wobec kultury polskiej, tym więcej, że nie stanął on na pozycjach wrogich nowej Polsce. Przeciwnie: pisał o niej i starał się zrozumieć to, co się u nas dzieje.

Jan Koprowski

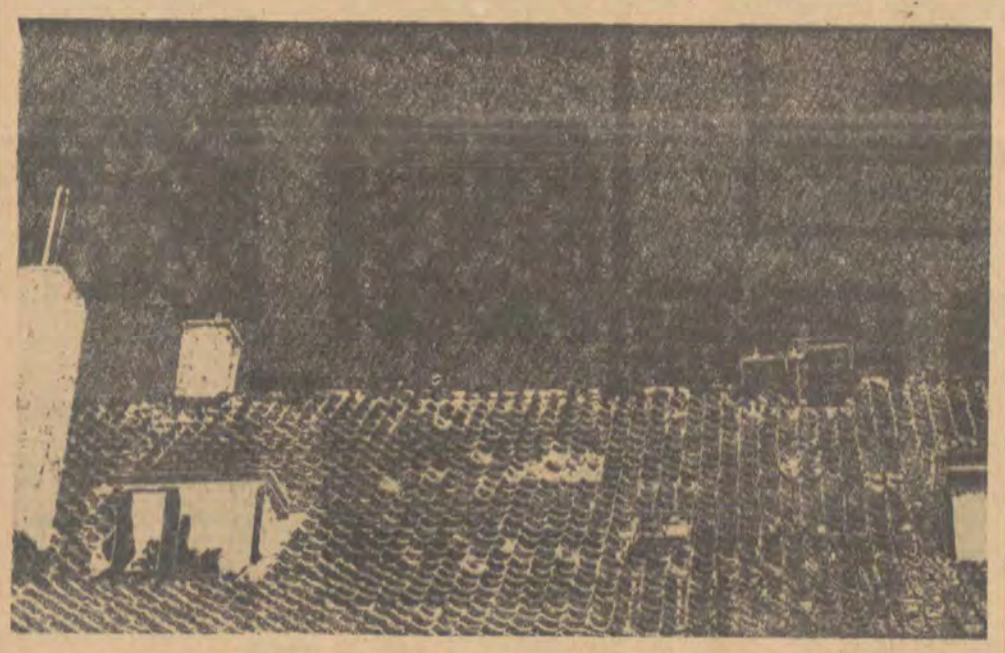

„Dach" — fot. Edward Przybyłowicz — AFIAP

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

SAGA CHŁOPSKIEGO RODU

Tadeusz Papier — mimo że od dawna i stale mieszka w dużym mieście, mianowicie w Łodzi — najchętniej i przeważnie uprawia tematykę wiejską, jej właśnie poświęcając swe powieści, opowiadania i reportaże. Ta pozorna sprzeczność nie jest przecież żadnym paradoksem, jeśli wziąć pod uwagę pochodzenie Papiera oraz dzieciństwo i młodość spędzone na wsi. Nikt nie zaprzeczy, że są to okoliczności wywierające głęboki, czasem nawet decydujący, wpływ na kształtowanie się osobowości i życiowych losów człowieka. Cóż dopiero mówić, gdy chodzi o pisarza czyli osobowość twórczą, z natury swej wrażliwszą i podatniejszą na wszelkie wpływy, które modelują i rzeźbią dojrzały kształt ludzki.

To jest tak jak do narratora nowej książki Tadeusza Papiera — „Powtórna śmierć Boryny"*) mówi ciotka Melania: „Ty żyjesz w mieście, ale tęsknisz do naszej Wsi i musisz przyjechać do niej chociażby raz do roku(...) Żyjesz tą wsią, chciałbyś wszystko o niej wiedzieć. Nie tylko o dzisiejszej, ale i o dawnej"...

Tadeusz Papier w karykaturze Ibis-Gratkowskiego.

Gdyby mi ktoś kazał określić, do jakiego gatunku literackiego należy „Powtórna śmierć Boryny" znalazłbym się w nie lada kłopocie. Tytuł sugeruje jakieś nawiązanie do Reymontowskich „Chłopów" — i rzeczywiście takie nawiązanie istnieje, ale dla celów literackiej klasyfikacji nic z tego nie wynika. Łatwo powiedzieć, czym książka Papiera nie jest, trudno natomiast zdefiniować, czym ona jest, co zresztą jej wartości bynajmniej nie uchybia. A więc, by scharakteryzować książkę Papiera, trzeba użyć metody opisowej, jako najbardziej skutecznej i celowej.

Oryginalny i — powiedziałbym — płodny jest pomysł tej książki. Papier sięgnął do rodzinnego archiwum albo może lepiej — do kroniki rodzinnej, zawierającej liczne fotografie, listy i rozmaite dokumenty, aby zaprezentować nam cały ten materiał w pewnym logicznym układzie. Nie jest to rzecz jasna, jakiś „spis inwentarza", suchy i lakoniczny; każda bowiem pozycja tej gromadzonej w ciągu wielu lat kroniki opatrzył autor odpowiednim komentarzem i uzupełnił — w miarę możliwości — własnymi wspomnieniami. Wydaje się bardzo prawdopodobne, że w toku relacjonowania zawartości swej kroniki rodzinnej autor coś niecoś szczególnie w niej uwypuklił, a coś innego przesunął na margines, że pewne sprawy i zdarzenia jakoś zaokrąglił i po literacku wygładził, nie ulega jednak wątpliwości, iż zasadniczy nurt narracji Papiera pokrywa się najzupełniej z prawdą życiową i realiami środowiska, którego dotyczy.

I oto w ten sposób powstała zwięzła saga szeroko rozgałęzionej chłopskiej rodziny, saga obejmująca nie tylko losy przedstawicieli czterech jej pokoleń, lecz również życiowe koleje sąsiadów, przyjaciół, znajomych tej rodziny, a także sprawy ludzi, którzy w dziejach tej Wsi (przez duże W) odegrali wybitniejsza rolę. Historia ukazanej przez Papiera rodziny i poszczególnych jej członków jest zarazem historią wsi, gdzie oni mieszkają lub skąd pochodzą, w okresie lat co najmniej sześćdziesięciu, licząc od początku naszego stulecia.

Ciekawa, starannie dopracowana i konsekwentnie w obranej konwencji utrzymana książka Papiera zaludnia wielkie mnóstwo ludzkich postaci, żywy i barwny poczet ludzi, związanych ze sobą pokrewieństwem, przyjaźnią, stosunkami i zależnościami różnego rodzaju. Niepodobna wymienić tu wszystkich, którzy by na to zasługiwali, trzeba jednak wspomnieć choćby tylko o takich spośród tych postaci jak rodzice narratora, ciotka Melania lub stryjowie Ludwik i Aleksander. To już nie sylwety i sylwetki, lecz realistyczne portrety, których linie, barwy i wymiary — w każdym przypadku pełne indywidualnego wyrazu — głęboko zapadają w pamięć Czytelnika, utwierdzając zasłużony sukces autora „Powtórnej śmierci Boryny".

Łódź „Wydawnictwo Łódzkie", 1965 r. str. 148, cena 10 zł.

Półka z książkami

PRAWDOMÓWNE BAJKI

Łużyczanie stanowią dziś niewielką grupę Słowian zamieszkujących dwie enklawy na terytorium NRD (Cottbus i Bautzen). Ich istnienie jest widomym świadectwem dawnej potęgi terytorialnej Słowian, złamanej potem przez najazdy Germanów. Zwłaszcza Dolnołużyczanie, ich losy i kultura powinny zainteresować każdego Polaka, język dolnołużycki jest bowiem bardzo bliski językowi polskiemu. Toteż z prawdziwym zadowoleniem odnotowujemy ukazanie się antologii folkloru łużyckiego w przekładzie i opracowaniu Józefa Magnuszewskiego, z obszernym, historyczno-literackim wstępem. Wybór oparty został o fundamentalne pod tym względem dzieło Smolerja i jest reprezentatywny, przynosi bogaty przegląd łużyckiej twórczości literackiej. Pewne wątpliwości budzą przekłady, niekiedy stylizowane, gdyż tłumacz chciał w ten sposób podkreślić „ludowość" utworów, na szczęście jednak stylizacji tej nie ma za wiele. Układ tekstów klarowny, autor antologii zorganizował je w trzy grupy: pieśni liryczno-epickich, pieśni lirycznych oraz bajek i podań. Celność tych tekstów niech najlepiej zobrazuje jedna z bajek, o kłótni między szczupakiem i cielęciem, którą tak rozsądził prawnik:

„Rację ma szczupak, ale cielę jest większe niźli szczupak, przeto cielę ma rację".

Książka powinna znaleźć się w ręku każdego, kto choć trochę interesuje się twórczością ludową.

K. F.

„Ludowe pieśni, bajki i podania Łużyczan"; przełożył i opracował Józef Magnuszewski; Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław, 1965, str. 249, cena zł 20.

147 pozycja II serii Biblioteki Narodowej.

PASMO Z GORDYJSKIEGO WĘZŁA

Trudno chyba o mniej fortunne powstanie polskie, które by aż dotąd przynosiło większe pokłosie literackie. Zapewne dlatego, że wówczas to zaplątał się gordyjski węzeł naszej najnowszej historii. Obecnie usiłuje się wysupłać z niego porwane pasma działalności demokratyczno-rewolucyjnej i dzięki temu wielostronicowa biografia Zygmunta Sierakowskiego, pióra Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, ma już wydanie czwarte.

Sierakowski był konspiratorem i to jest główny szkopuł przy pisaniu biografii. Nie chodzi tylko o szczupłość materiału, bo autor wykorzystał dane niejednokrotnie rewelacyjne. Po prostu nie sposób napisać powieści o konspiratorach, choć można, trzeba i należy pisać eseje lub rozprawy naukowe. Na skutek tego to, co miało być najważniejsze w opowieści o Sierakowskim, wypadło blado, mianowicie jego działalność spiskowa i kontakty z rewolucjonistami rosyjskimi i zachodnioeuropejskimi. Obraz rewolucjonistów rosyjskich jest płaski, pozbawiony tła, jednowymiarowy, a rysunek liberałów na dworze carskim, w których otoczeniu Sierakowski robił karierę sztabową, zupełnie czytelnika dezorientuje.

Bardziej epickim materiałem na powieść są losy Sierakowskiego na zesłaniu w Orenburskim Korpusie Specjalnym, jego walka o przetrwanie, przyjaźń z Szewczenką, awans oficerski, walki na stepie. Dzięki temu fragmentowi biografia Sierakowskiego zaleca się szczególnie do czytania, gdyż rzuca światło na mało znane dzieje polskich zesłańców i rosyjskich więźniów politycznych caratu.

Tak oto mimo ambicje autora, by ukazać tendencje polskiego demokratyzmu-romantyka, powieść o Sierakowskim zajmuje nas głównie relacją o martyrologii. Mimo zatem zalet pisarstwa Strumph-Wojtkiewicza, trzeba podnieść wątpliwość czy właśnie powieść biograficzna popularyzuje dostatecznie dobrze rewolucjonistów, których chce się przywrócić pamięci społeczeństwa. Wydaje się, że studia naukowe byłyby pożyteczniejsze.

J. T.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: Sierakowski, Warszawa, 1965, MON, Wyd. 4, s. 600.

„POD GÓRĄ KRÓLOWEJ BONY"

Refleksyjna proza Haliny Micińskiej-Kenarowej sięga do wspomnień dzieciństwa. Stara się też, z powodzeniem, zachować specyfikę dziecięcego spojrzenia na świat: na ludzi, krajobrazy Krzemieńca i jego okolic, fragmenty mieszkań i budynków, przedmioty i zdarzenia. A także na Boga. Powiązania zachodzące między tymi wszystkimi czynnikami posiadają ową przewrotną, pełną nieoczekiwanych skojarzeń, świeżość odbioru, właściwą dzieciom wrażliwym, o żywej wyobraźni. Dlatego np. strażacki, złociście połyskujący kask na śmietniku staje się przedmiotem upragnionym i — zdobytym w trudzie, wśród piekącego bólu oparzeń liśćmi pokrzyw otaczających śmietnik, ale jednocześnie, także z punktu widzenia człowieka dorosłego, zdechły kot nieoczekiwanie gnijący pod owym złotym kaskiem staje się doświadczeniem i symbolem goryczy rozczarowań życia. Autorka jednak raczej konsekwentnie unika „dorosłej" perspektywy spojrzenia, co najbardziej się jej udaje w początkowych partiach książki. Całość jest fragmentem, wycinkiem kilku lat życia dziewczynki. Nieudana pierwsza komunia w wieku lat 10 stanowi finał tego epizodu także poprzez pewne skrystalizowanie stosunku bohaterki do „Panboga", który przez cały okres poprzedni był istotą groźną, a teraz, w dniu pierwszej spowiedzi, okazał się okrutną, ponieważ uznał za grzech wyobrażanie sobie „tego, czego nie ma", a co dziecko czyni nieustannie.

Zwraca uwagę język tej książki, poetycka, refleksyjna narracja. Wydaje się, że w tej dziedzinie autorka osiągnęła najwięcej.

K. W.

Halina Micińska-Kenarowa „Pod Górą Królowej Bony", Wydawnictwo Literackie, Kraków. Cena zł 12.

● **13 CZERWCA BR.** zmarł w Jerozolimie Martin Buber – wybitny filozof, znawca zagadnień religijnych, duchowy inicjator młodego Izraela. Martin Buber urodzony 8 lutego 1878 r. w Wiedniu, spędził młodość we Lwowie, a studia odbywał w Wiedniu, Zurychu, Lipsku i Berlinie. W r. 1901 wydawał w Wiedniu czasopismo „Die Welt", później w Berlinie czasopismo „Der Jude", a wreszcie czasopismo „Die Kreatur". Po przewrocie hitlerowskim udał się na powrót do Wiednia, a kiedy Niemcy hitlerowskie dokonały „Anschlussu" Austrii – osiedlił się na stałe w Jerozolimie, gdzie był wykładowcą na uniwersytecie hebrajskim. W r. 1947 ukazał się wybór jego prac pt. „Dialogische Leben", zawierający jego pisma, m. in. rozprawy „Ja i ty", „Problem jednostki" „Problem człowieka". Martin Buber zebrał również i opracował wierzenia Żydów ze wschodniej Europy pod wspólnym tytułem „Gog i Magog". Pisał wyłącznie w języku niemieckim.

● **NOWA POWIEŚĆ** Roger Peyrefitte „Les Juifs" stała się paryską sensacją, i to nie tylko dlatego, że aż trzech członków rodziny Rotschildów wystąpiło do sądu o zakaz sprzedaży książki, która wyszła spod pióra ministra, głośnego pisarza i człowieka bliskiego de Gaulle'a.

„Les Juifs" – to książka przewrotna i kontrowersyjna. Autor przez usta swych bohaterów wypowiada drastyczne sądy dotyczące wielu znanych postaci, jednocześnie wskazując na szereg postaci historycznych, które w swych drzewach genealogicznych miały lub mają Żydów. W galerii tych postaci nie brak i głośnych antysemitów – zaczynając od Torquemada przez Leona Dandeta, aż po Francoise Dior, żonę „wodza" angielskich faszystów Colin Jordana. Tu czytelnika czekają liczne niespodzianki – póki nie pojmie wreszcie, iż padł ofiarą szydercy.

Największą jednak niespodzianką jest drzewo genealogiczne generała de Gaulle'a. Jak wiadomo, generał sam niedawno oświadczył, iż wywodzi się z alzackiej rodziny noszącej nazwisko Kolb. Peyrefitte wygrzebał w archiwach dowody, iż Kolbowie byli alzackimi Żydami. Co więcej – odnalazł i w Anglii rodzinę de Gaulle'a – Meyer oraz metryki z 1784 r. alzackiego lekarza Golle'a, również Żyda. Ale po co cała ta – jak się czytelnikowi musi zdawać – skompromitowana już dawno zabawa? Peyrefitte – w przeciwieństwie do innych autorów, podejmujących ten dwuznaczny temat – nie jest antysemitą. Chodzi mu o wręcz coś przeciwstawnego. „Chciałem raz jeszcze udowodnić, że Europa to tygiel narodów i ras – wyjaśnia autor cel swej pracy. – Bo kiedyż wreszcie wszyscy zrozumieją, że tu, na tym kontynencie, drzewa genealogiczne tak splątały się korzeniami i gałęziami, iż nawet czołowi antysemici odnajdą Żydów wśród swoich przodków?"

Ale czy naprawdę w 20 lat po klęsce hitleryzmu istniała potrzeba napisania tej książki?

● **A WIĘC JUŻ stulecie?** Tak, tak, **„Alicja w Krainie Czarów"** ukazała się równo wiek temu, w 1865 roku. Co prawda rocznica ta dotyczy tylko wydania zwanego „amerykańskim", jako że Anglicy musieli jeszcze na „Alicję" czekać cały rok – ale fakt pozostaje faktem: pierwsze wydanie najukochańszej książki naszych milusińskich nosi datę 1865.

Charles Lutwidge Dodgson, matematyk z Oxfordu i literacki debiutant, znany potomnym jako **Lewis Carroll** był bowiem autorem wymagającym. Ilustracje do owego pierwszego wydania nie przypadły mu do gustu. Więc nie zgodził się po prostu na sprzedaż swej książki w Anglii. Czyż nie jest to historia pouczająca dla współczesnych debiutantów?

A był pan Dodgson, jak na Anglika przystało – dziwakiem. Poza matematyką interesowało go wiele dziedzin: znane były swego czasu jego drobne wynalazki, jakiś nyctograf, przyrząd ułatwiający notowanie w ciemnościach, jakieś urządzenie sterownicze do trzykołowca. Ale prawdziwą pasją tego wiktoriańskiego gentlemana były dziewczynki. Broń Boże, nic w żadnym dwuznacznym sensie! Małe dziewczynki, za pozwoleniem mamuś, pan Dodgson fotografował, prowadził na spacery, zabawiał opowiadaniem bajek. „Chłopcy są nieznośni, chłopcy to w ogóle nieporozumienie" – mawiał pan Dodgson.

Szczególnie przypadła mu do serca **Alicja Leddell,** córka dziekana jednego z najstarszych oxfordzkich College'ów. To jej właśnie najpierw opowiedział, a później ofiarował w rękopisie swą historię o „Przygodach Alicji Pod Ziemią" (tak brzmiał pierwotny tytuł książki). I kto wie, czy nie jest to najbardziej urocza geneza powstania utworu, jaką zna historia literatury.

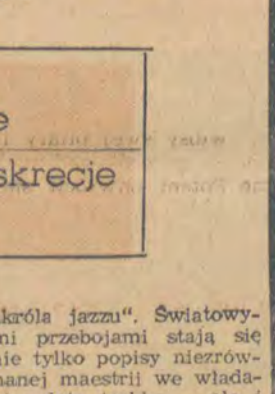

A dziś? Egzemplarz pierwszego wydania Alicji sprzedano na londyńskiej aukcji za 11.760 dolarów, manuskrypt pana Dodgsona po II wojnie światowej wrócił do Anglii, nabyty u nowojorskiego antykwariusza za 50.000 dolarów. W ciągu stu lat „Alicja" podbiła cały świat: przełożono ją chyba na wszystkie języki narodów cywilizowanych – aż po swahili i łacinę.

Bowiem – jak to określa celnie slogan na obwolucie najnowszego wydania „Alicji w Krainie Czarów" – **„Nikt nie odważy się dorosnąć, nie przeczytawszy tej książki"!**

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

ANITA LOOS pisze pamiętniki! Dlaczego wiadomość ta poruszyła cały niemal amerykański świat filmowy?

Kim jest Anita Loos? Niegdyś cudowne aktorskie dziecko, już w czternastym roku życia zaczęła swą wielką karierę pisząc scenariusz, który zakupił sam słynny Griffith. Film, jaki powstał na podstawie tego „dziecięcego" scenariusza — „Kapelusz z Nowego Jorku" — zrobił karierę, grali w nim Mary Pickford i Lionel Barrymore.

„Griffith domagał się ode mnie dalszych scenariuszy" — opowiada Anita Loss — „i zdumiał się spotkawszy po raz pierwszy ich autora, pensjonarkę. Ale na szczęście byłam „intelektualnie obkuta", cytowałam bez przerwy Spinozę i Schopenhauera. To mu zaimponowało chyba w ogóle mu się spodobałam, bo chciał żebym występowała w jego filmach, na co jednak nie zgodził się mój ojciec. Zostałam jednak stałą współpracownicą Griffitha i członkiem jego zespołu literackiego. Tak to się zaczęło..."

Anita Loos

Największym sukcesem autorskim Anity Loos był bestseller pt. „Mężczyźni wolą blondynki", napisany jako powieść odcinkowa, i dopiero po wielu rozczarowaniach wydany w małym, ekskluzywnym wydawnictwie. „Pierwsze egzemplarze drukowałam na własny koszt" — wspomina Anita Loos — „Traktowałam to jako kosztowne hobby, bo nikt nie chciał wydać tak ryzykownej i drastycznej książki. A potem zaczęła się jej popularność — i pieniądze, których napływało tyle, że nie wiedziałam co z nimi robić".

Również i w dziedzinie piosenki pani Loos osiągnęła sukcesy: tylko jeden jej tekst do songu Julesa Steina — „Brylanty są najlepszymi przyjaciółmi dziewczyny" — spopularyzowany przez Marilyn Monroe, przyniósł pani Loos ponad pół miliona dolarów.

„Pisałam przez całe swe życie — i to dla takich sław jak Clark Gable, Jean Harlow, Joan Crawford – mówi pani Loos. – Przyjaźniłam się z Chaplinem, Fairbanksem, Gretą Garbo i Mary Pickford. Moja sztuka — „Szczęśliwe urodziny" — szła na Broadwayu przez dwa lata. W adaptowanej przeze mnie „Gigi" rozpoczęła swą karierę Audrey Hepburn. Więc cóż, nie pora bym wydała pamiętniki? Jestem pewna, że będą bestsellerem. Zatytułuję je „Taka sobie zwykła dziewczyna".

STARY CZŁOWIEK I TRĄBKA

● **TAKI** rok urodzenia to przecież symbol: Louis Armstrong przyszedł na świat w roku 1900 – a więc wszyscy miłośnicy jazzu mają prawo uważać rok 1965 za rok jubileuszowy.

Sam Armstrong uważa natomiast za ważniejszą inną datę: 8 lipca 1922 – „wtedy się właśnie urodziłem!" Chodzi oczywiście o datę przyjazdu do Nowego Jorku, gdzie czekał na niego sam Joe „King" – „Król"—Oliver, mistrz trąbki, kierownik najgłośniejszej wówczas orkiestry jazzowej.

„To były piękne czasy – wspomina Louis. – Już pierwszego wieczoru wpadliśmy z Joe na pomysł, jaki jeszcze nigdy jazzmenom nie przyszedł do głowy. Oliver podczas solówki któregoś z członków zespołu poddawał mi cicho ton, w którym miał zamiar zaczynać swoje solo, a ja natychmiast improwizowałem drugi głos. Taki duet to naprawdę było coś wielkiego i ludzie, słuchając, wpadali w entuzjazm..."

Ale współpraca Olivera i Armstronga wkrótce się skończyła. Louis coraz wyraźniej dążył do eksponowania partii solowych, Oliver jazz pojmował jako popis gry zespołowej. Doszło do sporów, konfliktów i rozłąki.

Następny etap kariery Armstronga – „Hot Five" i „Hot Seven" – to już samodzielność. Potem przychodzi sława i autorytet „króla jazzu". Światowymi przebojami stają się nie tylko popisy niezrównanej maestrii we władaniu złotą trąbką – ale i interpretacja popularnych piosenek – takich jak „C'est si bon", „Blueberry Hill", „Mackie Majcher". Ochrypły, nieporównany, charakterystyczny głos i absolutny słuch sprawiają, iż każda nowa kreacja, każde nagranie wywołuje zachwyt wśród koneserów i zwykłych, przeciętnych amatorów jazzu.

Ale część popularności Armstronga przypisać należy i wyjątkowym osobistym zaletom wielkiego artysty: to przecież czarujący, zawsze pogodny człowiek, pełen radości życia, serdeczny dla współpracowników, zawsze z jednakową skromnością traktujący swą sztukę jako świetną zabawę. 65 urodziny Satchmo są więc dla wszystkich jego sympatyków radosną uroczystością. Prawdziwym Świętem Jazzu.

Z SATYRY AUSTRIACKIEJ

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Tylko ze względu na brak złotej farby (gazeta nasza jest bogata wyłącznie w treści) drukujemy to pospolitą, czarną czcionką: na Kozinach przy ul. Wapiennej 15 otwarto Osiedlowy Dom Kultury, który mieszkańcom Polesia zafundowała Spółdzielnia Mieszkaniowa „Bawełna". Miejmy nadzieję, że jest to Pierwszy Mohikanin, a nie (zwrot tradycyjny opuścimy) wolno zapominać i o tym, że są w mieście Łodzi nie tylko osiedla, ale całe dzielnice pozbawione tego typu obiektów.

WTOREK

II Przegląd Krótkometrażowych Filmów Morskich (Świnoujście 24—27. VI.) prócz 3 głównych nagród i 2 wyróżnień dla realizatorów łódzkich przyniósł i tę prawdę, że premiuje się stare błędy Wytwórni Filmów Dokumentalnych w nowym wydaniu Wytwórni Filmów Oświatowych. Spośród pozycji nagrodzonych najciekawszy jest film Sobeckiego pt. „Szczecin — Port" (II nagroda). Wyżej oceniony „Suchy dok" Riessera bazuje wyłącznie na mozolnie budowanym nastroju, zaś III nagroda przypisana filmowi pod każdym względem nieudanemu, reportażowi-wizytówce pt. „Łowimy w tropiku" Domalewskiego. O wiele bardziej zasługiwały na nagrodę filmy tylko wyróżnione, a więc „Słowiańska Wineta" Jaskólskiej i „Morskie zwierzęta osiadłe" Arkusza. Zwłaszcza ta ostatnia pozycja jest wymownym świadectwem potęgi filmu tzw. oświatowego i pewno dlatego właśnie nie znalazła uznania w oczach „dokumentnie" nastawionych jurorów.

ŚRODA

To, że Warszawa jest przedmieściem Łodzi, nie może nam przesłaniać niezbyt wesołego obrazu, który nawet człowiekowi bez wyobraźni stanie przed oczami, gdy wchłonie w siebie porcję takich oto danych: jesteśmy miastem, w którym na jednego mieszkańca przypada najmniej książek w zbiorach bibliotecznych w porównaniu ze wszystkimi innymi miastami kraju. Oczywiście staramy się to odrobić, choć niezbyt gorliwie, gdyż miasta o lepszym wskaźniku, z mniejszymi brakami w księgozbiorach, biją nas w zakupach na głowę. Zresztą może gorliwość nie byłaby wskazana, jak bowiem wynika ze statystyki, nawet istniejący księgozbiór nie jest dostatecznie wykorzystywany. Dowodem tego następna pozycja w statystycznej tabeli — ilość czytelników zarejestrowanych w bibliotekach na 100 mieszkańców. Znowu ostatnie miejsce w Polsce. Może się ktoś pocieszy, że decyduje nie ilość, ale jakość czytelników. Niestety i tutaj zawód. Gdy idzie o wypożyczenia, łodzianie notowani są znowu na ostatnim miejscu w kraju. Co gorsza za tę pozycję w tabeli nie można stuknąć nikogo z tzw. odpowiedzialnych za kulturę czynników, można się co najwyżej bić długo w piersi. A potem zapisać do najbliższej biblioteki i jeśli nie czytać książek, to przynajmniej pożyczać. Zachodzi bowiem obawa, że przy podobnym wykorzystaniu księgozbiorów dalsze zakupy uznane zostaną przez NIK przy najbliższej kontroli za marnotrawstwo grosza publicznego.

CZWARTEK

Na czym polega GWOŹDŹ TYGODNIA. Sięgnijcie do „Małego Głosu", gdzie czytamy: „Otóż chodzi o wybór najciekawszego, zdaniem Czytelnika, tytułu lub artykułu, jakie się ukażą w „Głosie". Tytuł taki lub artykuł (bez względu na rozmiary) należy tego samego dnia, kiedy się ukaże, wyciąć, nakleić na kartkę pocztową (jeśli tytuł duży — to nakleić fragment) i natychmiast przesłać do redakcji. Ilość nadesłanych wycinków jest nieograniczona".

No cóż, lato ma zawsze to do siebie, że wypędza ludzi z miasta. Ale czy trzeba to koniecznie podkreślać?

PIĄTEK

Bieżący sezon kulturalny uległ przedłużeniu. Sprawiła to wyjątkowo dżdżysta jesień, którą mamy tego lata. Tak więc w dalszym ciągu można w Salonie Wystawowym BWA (Piotrkowska 102) oglądać piękne gobeliny Tamary Hans (pierwotnie przewidywano, że wystawa potrwa do 30. VI.). A swoją drogą warto pomyśleć o zorganizowaniu dalszych, interesujących wystaw prac plastyków w naszym mieście, póki jest ku temu sposobna pora. Zapowiada się bowiem, że tej jesieni ładne będziemy mieli lato, a lato wystawom nie służy.

SOBOTA

Działalność wydawnicza nigdy nie była najmocniejszą stroną PTT-K. Skutek jest taki, że stawiający pierwsze kroki turyści nie mają gdzie nabyć przewodników po województwie łódzkim. Wprawdzie w r. ub. ukazała się seria informatorów o 8 powiatach lub miejscowościach stanowiących atrakcję turystyczną, ale nakład publikacji wynosił 3 tys. egz. Pragniemy przypomnieć, że samych członków PTT-K liczy się w okręgu łódzkim na 16 tys. Zaś turystów potencjalnych jest u nas więcej niż 2 mln.

NIEDZIELA

Jak wskazują wszelkie znaki na ziemi i niebie, budowa Teatru Narodowego w Łodzi zostanie zakończona jeszcze w b. miesiącu. Gmach przedstawia się okazale, ale oczywiście nie może konkurować z grecką Akropolis, której zabudowa za Peryklesa trwała 16 lat. (447—432 r. pne). Na pociechę trzeba stwierdzić, że budowa katedry św. Piotra w Rzymie trwała 101 lat (1506—1607 r.).

KONRAD FREJDLICH

Autorem rysunku na str. 6 do tekstu zatytułowanego „Jeden dzień w sierpniu" jest Magda Kapuścińska.

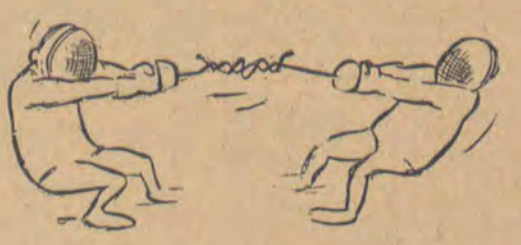

KRYSTYNA WOJTASIK

LORD z WALIZKI

Wprawdzie u Wilde'a jest to torba, a nie walizka, ale adaptatorom (L. J. Kern i Władysław Krzemiński) chodziło prawdopodobnie o sprezentowanie efektownego i dowcipnego tytułu, co im się zresztą udało. Zamiana torby na walizkę nie wpływa też zupełnie na bieg wypadków w sztuce, przy czym walizka pozostaje nadal świadectwem fascynacji Wilde'a przedmiotem, tak często spełniającym w utworach tego pisarza (np. „Mąż idealny" czy „Wachlarz lady Windermer) rolę, która można by określić „po nitce do kłębka".

Ponadto ów dowcipny tytuł jest, niestety, omalże jedynym udanym dowcipem, wśród przydanych przez adaptatorów sztuce Wilde'a,

bo trudno za taki uznać desperacki zamiar lady Bracknell jazdy na lokomotywie czy przydługi dyskurs między Algernonem a jego lokajem na temat ukochanej filiżanki tejże lady Bracknell, nasuwający podejrzenie satyrycznej wycieczki pod adresem jak najbardziej współczesnych miłośników fałszywych antyków. Autorzy adaptacji ujęli przy tym tekstowi sztuki sporo ironicznych point (w rodzaju: np.: arystokrata Algernon po rozmowie z lokajem na tematy matrymonialne — „Poglądy Lane'a na małżeństwo wydają mi się zbyt swobodne. Doprawdy, jeśli ludzie niższych warstw nie świecą nam dobrym przykładem, to jaki z nich pożytek!") stępiając tym samym satyryczne ostrze utworu wymierzone przeciwko klasie posiadaczy. Zabieg ten nie ominął i postaci lady Bracknell, która w adaptacji zachowała pełnię swych satyrycznych rysów, złagodzonych jednak przez farsowe ustawienie roli (Barbara Jaklicz dała tu brawurową próbę swoich możliwości; ładna, konsekwentnie poprowadzona rola) oraz „rozwodnionych" przez popisy wokalne. To ostatnie dotyczy zresztą całego tekstu sztuki. Przez wprowadzenie piosenek (czystych literacko, czego nie można powiedzieć o ich angielszczyźnie), a przede wszystkim ich nadmiaru, akcja straciła wiele na spoistości i wartkości, a przy tym przekształciła się w operetkowe libretto (do pełni tego rodzaju wrażenia brakowało jedynie występów kiepskiego baletu). I tu chyba dotykamy sedna sprawy. Czy wolno „profanować"? Odpowiedź nie może być jednoznaczna. Zależy bowiem co, jak i dlaczego. W wypadku „Brata marnotrawnego" czy jak kto woli „Bądźmy poważni na serio", co również w pełni nie wyjaśnia gry słów angielskiego tytułu polegającego na podobieństwie brzmienia wyrazów Ernest — imię męskie i earnest — poważny, zabieg adaptacji ti, dodanie paru fragmencików tekstu i licznych, przydługich piosenek nie wpłynął na uatrakcyjnienie tej inteligentnej, znakomicie skonstruowanej i bardzo zabawnej komedii, która sama, bez żadnych dodatków, potrafi sobie dać świetnie radę na scenie po pewnej interwencji reżyserskiego ołówka. Adaptatorom chodziło zapewne o jej „uwspółcześnienie" czyli o stworzenie „musicalu" tak podobno ogromnie odpowiadającego gustom dzisiejszego widza, ale pozostawiając epokę, środowisko i fabułę bez zmian nie zdołali „uwspółcześnić", a musical wymaga bardziej melodyjnych piosenek i szerszego oddechu i tła niż kameralne tło tej komedii (porównajmy z filmami „West Side Story" czy „Oklahoma").

Nieco dziwne wrażenie wywołuje Jerzy Walczak, kreujący tytułową rolę „lorda z walizki", poruszając się tanecznym krokiem w operetkowym stylu i wywijając przy tym laseczką. Ale może to kwestia przyzwyczajenia do innego emploi tego aktora. Znacznie swobodniej czuje się w skórze operetkowego dandysa Maciej Małek, wdzięcznie i przekonująco odtwarza lorda — banburystę (nie zdradzimy, co to znaczy), a potem lorda zakochanego w Cecylii. Cecylia — uosobieniem uroku i niewinności, jest Alicja Krawczykówna, panna Dolly — Barbara Wałkówna, która jednak nie zdecydowała się na mocniejsze zaakcentowanie cech charakteru tej przedsiębiorczej i nowoczesnej w poglądach i postępowaniu osóbki. Obie panie wyglądają bardzo ładnie. Szczególnie stroje panny Dolly wydają się twarzowe. Uroda i elegancją dorównuje im lady Bracknell czyli Barbara Jaklicz.

Świetny jest Jerzy Przybylski jako pastor nagabywany przez pannę Pris (Lena Wilczyńska) do przyjęcia małżeńskich więzów. Tworzą udany duet. Przybylski ustawił swoją rolę na pograniczu komedii i farsy. Natomiast trochę żal, że Bohdanowi Wróblewskiemu (lokaj Lane) okrojono nieco rolę z filozoficznych sentencji i pewnej ilości tzw. angielskiego humoru, nie wykorzystując tym samym w pełni możliwości tego aktora.

Teatr im. Jaracza: „Lord z walizki". Lekka komedia dla poważnych ludzi (określenie O. Wilde'a), w-g Oskara Wilde'a „The importance of being earnest". Adaptacja: Ludwik Jerzy Kern i Władysław Krzemiński. Muzyka: Tadeusz Dobrzański. Reżyseria: Jerzy Wyszomirski. Scenografia: Ewa Rachwalska.

Jerzy Walczak (Jack Worthing) i Barbara Jaklicz (Lady Bracknell)

Fot. — Fr. Myszkowski

KRONIKA Antytelewizyjna

Z KOSZALINA NATRĘTNI „NATRĘCI"

W piątek, 9 bm., zobaczyliśmy na małym ekranie „Natrętów" Józefa Bielawskiego w inscenizacji Bałtyckiego Teatru Dramatycznego z Koszalina. Sztukę tę zaprezentowa-

no nam w ramach II Telewizyjnego Festiwalu Teatrów Dramatycznych. Niestety, obudzono Bielawskiego. Wbrew przestrogom oświeceniowych mistrzów:

Tu leży Bielawski. Szanujcie Tę ciszę,
Bo jak się obudzi, komedię napisze.

I faktycznie — trzeba przyznać — impreza ta wypadła bardzo niefortunnie. Było to co najmniej wielkie nieporozumienie. Inscenizacja „Natrętów" chybiona była bowiem zarówno pod względem teatralnym, jak i telewizyjnym. Tłumaczono nam przed spektaklem, że inspiracją tego przedsięwzięcia była 200 rocznica powstania „Natrętów" i jednocześnie początków istnienia sceny narodowej. Chwalebna to rzecz w narodzie — kult dla tradycji, ale pod warunkiem, że kult ten nie będzie ślepy. Niestety, twórcy inscenizacji zdawali się o tym nie pamiętać. Natrętni byli ci telewizyjni „Natręci" z Koszalina. Jedyną ich racją istnienia była owa cyfra 200. Słaby, nieatrakcyjny literacko i teatralnie tekst „położyli" do reszty aktorzy i reżyser. Nie tylko tekstowi, ich grze także zabrakło dobrego nerwu komediowego. W efekcie ta komedia nie była wcale zabawna. Smuciła nieumiejętnością doboru odpowiedniego repertuaru, irytowała słabością gry aktorów.

Nieruchawość postaci udzieliła się także telewizyjnym kamerom. Widowisko było więc w sumie straszliwie statyczne. Jak na ironię, pokazano nam „Natrętów" po bardzo dobrej, interesującej „Mojej drodze do Polski" Teatru im. S. Jaracza z Olsztyna. Trudno o dwie bardziej odmienne, kontrastujące ze sobą inscenizacje. Współczesność i dawność, atrakcyjność tematu i ujęcia — nudziarstwo. Tam — wnikanie do głębi ludzkiej psychiki, szczerość, naturalność, tu — nadęte moralizatorstwo, sztuczność, czczość frazesów anno domini 1765, podawanych w dodatku z bardzo poślednim kunsztem. Inscenizacja teatru olsztyńskiego znakomicie nadawała się na mały ekran, stwarzała liczne okazje do telewizyjnych zbliżeń. „Natręci" byli zdecydowanie antytelewizyjni. Kamery stały jak zamrożone. Ale nie mogło przecież być inaczej. „Natręci" nie nadają się już dzisiaj na scenę teatralną, a tym bardziej na ekran telewizyjny, który niedostatki tekstu Bielawskiego ukazuje jak przez szkło powiększające. Oglądając taki spektakl nie można nie zadać pytania — po co? Przecież sprawy, o których mowa w „Natrętach" nikogo nie są w stanie dziś wzruszyć. A sposób ich przedstawienia i dla współczesnych Bielawskiemu nie był zadowalający.

Jedno tylko można dodać na pocieszenie. No cóż, uczymy się na własnych błędach.

Inscenizacja Bałtyckiego Teatru Dramatycznego z Koszalina powinna być przestrogą dla teatrów, a przede wszystkim dla telewizji. Ponadto teatry biorące udział w festiwalu winny pamiętać na przyszłość, że przymiotnik „telewizyjny" w nazwie imprezy zobowiązuje do czegoś, że staranniej należy dobierać repertuar i sposób jego prezentacji.

KTV

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„APE REGINA" to komedia obyczajowa. Tak głoszą zapowiedzi, tak piszą krytycy. Film ten daleki jest jednakże od tego, co tradycyjnie już zwykliśmy uważać za komedię. Humor „Ape Regina" jest niesłychanie oryginalny. Skłonna byłabym raczej mówić o tym filmie jako satyrze obyczajowej. Nazwa komedia może bowiem wprowadzić zbyt wiele nieporozumień. Reżyser filmu Marco Ferreri znany jest ze swej oryginalności. Polscy widzowie mieli okazję przekonać się o tym oglądając „Wózek". Ferreri jest twórcą obnażającym wady, wstydliwe strony ludzkiej natury. Czyni to w sposób niesłychanie ostry. Ułomności ludzkie wydobywa na światło, powiększa, podkreśla, doprowadza do ostateczności. Nabierają one w jego filmach rozmiarów monstrualnych. Humor tego twórcy jest gorzki, sarkastyczny. Tym razem, w „Ape Regina" przedmiotem ataku jest zakłamana moralność mieszczańska. Fałsz i obłuda tej moralności, szczególnie w dziedzinie życia seksualnego, wypacza naturę ludzką na zawsze, czyni człowieka bezwzględnym, zimnym egoistą, który potrafi tylko brać, a sam nie umie dawać. Taka jest właśnie bohaterka filmu — Regina. Wychowana w mieszczańskiej rodzinie, wśród religijnej histerii, niezdolna jest do jakichkolwiek głębszych, prawdziwych uczuć. Jej postępowanie opiera się w gruncie rzeczy tylko na najbardziej prymitywnych instynktach. Wychodzi za mąż. Ale mężczyzna przy jej boku — Alfonso jest skazany jedynie na rolę trutnia. Dzięki niemu Regina ma zostać matką. I kiedy Alfonso spełni tę swoją rolę, staje się jej całkowicie niepotrzebny.

Konflikt płci ukazany jest w tym filmie z wyjątkową ostrością. Płeć jest w nim źródłem życia, ale i śmierci zarazem. Ferreri szydzi z najbardziej — zdawałoby się — nietykalnego mitu: macierzyństwa. Regina-matka oczekująca dziecka jest w swej bezwzględności, okrutnej oziębłości, straszliwie nieludzka.

W tytułowej roli wystąpiła w tym filmie Marina Vlady. Zagrała ją z wielkim wyczuciem, z kapitalną wyrazistością. To naprawdę doskonała jej rola. Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes otrzymała za nią nagrodę. Polecam ten znakomity film — jest naprawdę interesujący, ambitny, szalenie oryginalny.

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

„WYCIĘTO kluczowe sceny, które wyrażały to, co mówił Crane w swojej powieści(...) Jest to po prostu groteskowe(..) Jest to teraz zupełnie inny film(...) Nie przyniesie on nam ani sławy, ani pieniędzy. W dodatku to będzie klęska z punktu widzenia komercyjnego". Opinię tę wypowiedział o filmie „SZKARŁATNE GODŁO ODWAGI" kierownik produkcji Gottfried Reinhardt. W pełni zrozumiałe jest jego zniechęcenie. Historia realizacji tego filmu była bowiem jednym z największych skandali kompromitujących stosunki z Hollywood. Film ten od początku realizacji przewidziany był „na straty" i miał stanowić życiową naukę dla popierającego go zastępcy szefa wytwórni Metro-Goldwyn-Mayer młodego, początkującego D. Schary'ego. Podczas kręcenia „Szkarłatnego godła odwagi" jego twórcy mieli niemało kłopotów. Sam szef wytwórni — L. B. Mayer jak mógł, utrudniał im pracę. Mimo to film został ukończony. Lecz wtedy stało się to, co z góry przewidywali wytrawni producenci: zaczęły się sprawdzać obawy, że film nie może liczyć na kasowość. Podjęto więc próbę poprawienia go: wycięto wiele scen, a całość przemontowano. W efekcie trafia na nasze ekrany dzieło okaleczone, które widzieli film Johna Hustona w pierwotnej postaci, oceniali go bardzo wysoko. Niestety — to co widzimy teraz, nie może pretendować do miana filmu wielkiego. „Szkarłatne godło odwagi" ukazuje — podobnie jak literacki pierwowzór — ewolucję psychiki młodego żołnierza w czasie wojny. I właśnie dlatego wyrzucenie całych scen odbiło się na nim szczególnie dotkliwie. Wskutek tej fragmentaryczności, a więc skokowości zarazem, film traci część swojej siły przekonywania, ewolucja psychiki bohatera staje się uproszczona i nie dość umotywowana. Na całe szczęście filmu nie „dobito" do końca. Był i pozostał nadal przedsięwzięciem ambitnym. Ukazuje człowieka odartego z wszelkich póz i masek. To wyzwolenie prawdziwego oblicza ludzkiej natury musi nastąpić w ogniu wojny, kiedy każda minuta może już być ostatnią chwilą życia. Konfrontacja wpajanej ideologii z okrutną rzeczywistością wojny jest szczególnie ostra. Może prowadzić do tchórzostwa i dezercji lub też pchnąć do bohaterstwa. Lecz oba te stany duszy ludzkiej są stanami irracjonalnymi. Cena wojny bywa bowiem najczęściej zbyt wysoka. Stawką jest ludzkie życie. A śmierć jest absurdem, pogwałceniem człowieczeństwa. Wojenne rany — szkarłatne godła odwagi, to znamiona frajerów — mówi jeden z bohaterów. Śmierć w czasie wojny jest bezużyteczna. Prawdy te ukazane są w filmie w sposób prosty i naturalny, a zarazem przejmujący. Zasługa to i reżysera i odtwórcy głównej roli — Audie Murphy'ego i wreszcie znakomitego pierwowzoru — powieści Stephana Crane'a.

MARIAREL

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

WILLIAM LINK

PIRANIE MAJĄ OSTRE ZĘBY

JIMMY stał w drzwiach prowadzących do hotelu „Pecific" i patrzył na sznur samochodów pędzących na zachód przez Wilshire Boulevard. Zapadał zmierzch i od morza wiał ostry, słony wiatr. To jest życie, pomyślał Jimmy. Można by w jednej z nadmorskich restauracji zamówić homary, a potem wziąć koc i położyć się na plaży z żoną i z dziećmi. Można, gdyby były pieniądze.

Odwrócił się od drzwi i popatrzył na pusty hall. Była zaledwie dziewiąta, ale w hotelu panowała martwa cisza.

Przeszedł przez hall i zatrzymał się przy oknie wychodzącym na podwórze. Na samym środku znajdował się otoczony zielenią basen. Był teraz oświetlony i Jimmy zobaczył jakąś pochyloną postać, zapatrzoną w wodę.

Może to jakiś pijany, pomyślał Jimmy. Otworzył cicho drzwi i podszedł bliżej. To była kobieta. Obok niej stało naczynie z wodą, a w ręku trzymała siatkę. Mówiła coś z głową pochyloną nad basenem.

– Przepraszam panią – powiedział Jimmy – te ryby są własnością pana Kinga.

– Widzę, że będę musiała panu wszystko wyjaśnić – uśmiechnęła się stara kobieta. – Te ryby są moje. Zawsze wpuszczam je do basenu pana Kinga, kiedy wyjeżdżam do San Francisco.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste. Pan King karmi swoje ryby codziennie. Gdy wyjeżdżam, nie muszę się martwić, ponieważ moje również otrzymują pokarm razem z innymi.

– Nie wiedziałem. Przepraszam, że pani przeszkodziłem.

Uśmiechnęła się do niego i przyciskając do piersi naczynie, w którym znajdowały się złote rybki – weszła do hotelu.

Jimmy zapalił fajkę. Miła starsza pani, pomyślał. Chyba mieszka sama ze swoimi złotymi rybkami. Zamyślił się. Przypomniał sobie tych starszych ludzi, których widział z psami albo z kotami. Na starość wszyscy szukają jakiegoś towarzystwa. Mogą to być ludzie albo zwierzęta, to już nie ma znaczenia – byleby się czymś opiekować.

Na ostatnim piętrze zabłysło światło. W chwilę później Jimmy zobaczył tę samą kobietę niosącą swoje drogocenne naczynie.

Potem spotykał ją wiele razy. Najczęściej w pobliżu basenu. Rozmawiał z nią paląc fajkę. Gdy wyjeżdżała do San Francisco, jej ryby pozostawały w basenie. Były większe od innych i trzymały się zawsze razem tworząc oddzielną grupę.

Pewnego wieczoru podeszła do niego.

– Jimmy – powiedziała nagle – wkrótce znowu pojadę do siostry i...

– Ma pani jakieś zmartwienie?

– W prasie piszą o napadach rabunkowych. Skradziono wiele wartościowych rzeczy. Nawet z hotelu...

– Nie sądzę, aby coś podobnego mogło się u nas zdarzyć.

– To prawda, jednakże ja ciągle myślę, że w czasie mojej nieobecności ktoś mógłby się włamać do mojego pokoju.

Jimmy zaśmiał się.

– Po co? Żeby ukraść kilka złotych rybek?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Mam przedmioty olbrzymiej wartości.

Jimmy spojrzał na nią uważnie.

– Naprawdę?

– Mój mąż był bardzo zamożny. Pozostała po nim srebrna biżuteria i nawet oryginalny Cezanne. – Zmrużyła oczy. – Pan jest jedynym człowiekiem, który o tym wie. Oczywiście, oprócz mojej siostry.

– Czy te przedmioty są ubezpieczone?

– Nie. Nigdy o tym nie pomyślałam.

Jimmy wyjął fajkę i powoli nabijał ją tytoniem.

– Powinna pani zrobić to jak najszybciej. Wprawdzie nie należy się obawiać, że ktoś może panią obrabować, ale przecież nigdy nic nie wiadomo.

– Musiałabym wpierw dać to do oceny, prawda?

– Oczywiście.

– Nie, nigdy się na to nie zgodzę. Przyjdą jacyś obcy ludzie i zaczną grzebać w moich rzeczach. Lepiej będzie, jeżeli sama to zabezpieczę.

Jimmy palił fajkę i patrzył na starą kobietę. Stała przez chwilę zamyślona, wreszcie ruszyła w stronę drzwi. Kiedy była już w połowie drogi – zatrzymała się.

– Jimmy.

– Słucham?

– Czy byłby pan tak uprzejmy i w czasie mojej nieobecności sprawdzał wieczorem czy drzwi są dobrze zamknięte? Byłabym panu naprawdę bardzo wdzięczna.

– Ależ oczywiście. Zrobię to z największą przyjemnością.

– Dziękuję. Dobranoc, Jimmy.

– Dobranoc.

Jimmy palił fajkę i spoglądał w okno. Odpędzał od siebie tę myśl, ale była od niego silniejsza. Biżuteria i drogocenny obraz w pokoju staruszki. Wszystko to łatwe do zdobycia i niezabezpieczone.

Rozzłościł się na siebie. Kim jestem? Złodziejem? Spojrzał w okno. Było jasno oświetlone, zapraszało. Nieubezpieczona biżuteria. Obraz francuskiego malarza, za który można dostać tysiące dolarów. Zacisnął zęby na ustniku fajki. Skąd ona to ma? Spadek po mężu? Na pewno mieszkali w eleganckiej dzielnicy. Może w Beverly Hills.

Po śmierci męża staruszka przeniosła się z domu wypełnionego pamiątkami po zmarłym do małego pokoju, zabierając ze sobą swoje złote rybki i Cezanne'a.

W oknie zgasło światło. Wszystko jest proste, pomyślał Jimmy. Poczekam do jej następnego wyjazdu. Będę wiedział kiedy jej nie ma. Powiedzą mi o tym jej ryby pływające w basenie. Wtedy wejdę na górę i swoim kluczem otworzę drzwi...

Jimmy uśmiechnął się. A co potem zrobi? Wyjedzie z biżuterią i z bezcennym płótnem francuskiego mistrza? Naturalnie! Zaśmiał się głośno i podszedł do drzwi, by patrzeć na Wilshire Boulevard. Jimmy, pomyślał z uśmiechem, jesteś złym człowiekiem, jeżeli takie myśli przychodzą ci do głowy.

Auta pędziły nie kończącym się potokiem w stronę morza. Limuzyny i zwykłe samochody sportowe. Jimmy patrzył na nie. Ile kosztowności trzeba sprzedać, żeby kupić taki wóz? Oparł głowę o szybę, a kiedy patrzył na sznur pojazdów, astronomiczne cyfry zaczęły skakać mu przed oczyma. Nagle wszystko przekształciło się w korowód złotych rybek połyskujących w wąskim, ciemnym strumieniu.

W poniedziałek po południu Jimmy wyszedł, aby kupić sobie coś do jedzenia. Ale nie wrócił do domu. Wsiadł do autobusu i pojechał przez Wilshire Boulevard. Dzień był bezwietrzny i upalny. Autobus przejechał obok hotelu „Pacific" i zatrzymał się na rogu.

– Cześć, Jimmy! – krzyknęła do niego spotkana w hallu pokojówka.

Podniósł rękę, uśmiechnął się do niej, ale nie przystawał. Podszedł do basenu. Złote rybki staruszki pływały nisko na dnie. Jimmy spojrzał w okno na ostatnim piętrze. Było zasłonięte. Chyba wyjechała dziś rano do Frisco, pomyślał. Prawdopodobnie wróci w końcu tygodnia. Wbiegł po schodach i zadzwonił do jej drzwi. Cisza. Zapukał głośno, ale w dalszym ciągu nie było żadnej odpowiedzi.

I dopiero teraz zdecydował się naprawdę. Okazja była nie do pogardzenia. Pragnienia całego życia mogły się ziścić. Należało tylko wejść przez te drzwi. Uśmiechał się, kiedy zbiegał w dół po schodach.

Z najbliższej apteki zadzwonił do dyrektora Kinga.

– Co jest, Jimmy?

– Bardzo źle się czuję. Będę musiał pójść na badanie do szpitala. Prosiłbym o zwolnienie na kilka dni.

– A kto zostanie w hotelu dziś w nocy? Tak od razu nie znajdę przecież dla ciebie zastępcy.

– Nie wiem...

– Dobrze, znajdę kogoś na kilka dni, tylko kłopot jest z dzisiejszą nocą.

– Bardzo mi przykro, Mr King...

– W porządku. Uważaj na siebie.

Jimmy odłożył słuchawkę.

W Los Angeles zjadł obiad, a potem wpłacił kaucję i wypożyczył samochód. Włączył się w potok samochodów i jeździł tak brzegiem oceanu aż do jedenastej. Wreszcie zatrzymał się w pobliżu hotelu „Pacific". Hall tonął w ciemności. Wszedł tylnymi drzwiami i stanął koło basenu. Jeżeli spotkam kogoś – pomyślał – powiem, że na prośbę staruszki sprawdzam czy zamknięte są drzwi.

Wszedł do budynku i cicho wspinał się po schodach. Stanął i przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Podszedł do drzwi i zadzwonił. Nie było odpowiedzi. Wtedy włożył klucz do otworu i przekręcił. Otwierał je bardzo wolno.

Początkowo wydawało mu się, że pomylił pokoje. Nie było mebli, tylko duże szklane pudła pobłyskiwały przy świetle księżyca. Zdumiony, zamknął drzwi za sobą i zaczął rozglądać się dokoła.

Setki małych, płaskich oczu spoglądało na niego spoza szklanych ścian. Akwaria ustawione w szeregi wypełnione były tropikalnymi rybami. Mieniły się rozsnuwając swoje kolory. Te przed nim były małe z potężnymi szczękami i ostrymi zębami. Błądziły leniwie w wodzie wykreślając brązowe i błękitne spirale.

Niczego więcej tu nie ma, pomyślał. Nie ma obrazu ani srebrnych naczyń. Tylko te setki ryb. Po co ona mu opowiadała tę bajkę o Cezannie i biżuterii? Nagle jego dłonie pokryły się zimnym potem. Co się stało z portierem, który pracował poprzednio? Czyż nie zadzwonił do Mr. Kinga pewnego popołudnia i nigdy więcej nie wrócił?

Jimmy oparł się o jedną ze szklanych skrzynek. To wszystko było przygotowane dla niego. Rozmowa ze staruszką, pozorny wyjazd do San Francisco, nęcąca opowieść o wartościowych przedmiotach znajdujących się w pokoju.

Spojrzał na ryby pływające w podgrzewanej wodzie. Były dobrze odżywione. Kiedyś opowiadano mu o rybach bardzo drapieżnych, które nazywają się piranie i mają ostre zęby...

Nagle usłyszał jak za nim cicho otwierają się drzwi.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

GOSPOSIA OD ZARAZ

Oglądaliśmy niedawno na zamkniętym klubowym pokazie przedwojenny film polski – „Dziewczęta z Nowolipek". Jest tam króciutka scena, gdy na murze budynku, w którym mieści się redakcja jakiejś gazety, goniec nakleja nowy numer tej gazety, a czekająca gromada ludzi rzuca się łapczywie, jeden przez drugiego, na lekturę mokrej jeszcze płachty. Wyścig Pokoju, sputnik, Kuba? Nie, po prostu ogłoszenia drobne o wolnych posadach. Najpiękniejszy dział dzienników przez całe dziesiątki lat. Pamiętam takie sceny doskonale, chyba jednak nie tylko przez prosty atawistyczny sentyment pozostałem dotychczas czytelnikiem ogłoszeń drobnych.

Atrakcyjność tego działu skurczyła się co prawda niebywale. Anonsów o zgubionych legitymacjach i skradzionych pieczątkach nie ma po co czytać, zamieszcza się je, żeby uczynić zadość formalnemu wymogowi; jeszcze jeden gest liturgii biurokratycznej, na razie niezastąpiony. Podobnym gestem są często ogłoszenia o wolnych posadach: większość tych posad wcale nie jest wolna, z wyjątkiem gosposi domowych. Inżynierowie i ekonomiści z wieloletnią praktyką werbowani są zupełnie inaczej, anons jednak musi być przyklejony do akt. Jeżeli zatrzymamy czasem wzrok na takich anonsach, to tylko po to, aby stwierdzić, ileż to możliwości mieliby nasi synowie i córki, gdyby dostali się na wyższe studia.

Czasem trafi się jakiś rarytas w rubryczce „Różne". Na przykład takie – autentyczne – ogłoszenie z warszawskiego „Expressu Wieczornego", z 1958 roku: „Zawiadamiam, że w Sądzie Powiatowym dla m. st. Warszawy w dniu 5 lipca 1958 roku, tj. w sobotę, o godz. 12, w sali nr 41 odbędzie się posiedzenie sądu w sprawie z powództwa Heleny Czudowskiej przeciwko mnie. Zapraszam wszystkich moich znajomych i przyjaciół na powyższe posiedzenie. Kazimierz Lewicki". Cóż za perfidia i fantazja! Przyjdźcie, kochani przyjaciele, zobaczyć, jak mnie będą sądzić, jak mnie pani Helena oskarża, jak się przy tym skompromituje! Myślę, że ogłoszenie to mogłoby stać się pointą utworu literackiego, w każdym razie jest chyba frapującym przyczynkiem do studiów nad psychiką ludzką.

Od lat intryguje mnie powtarzające się w prasie łódzkiej ogłoszenie, że nieruchomości, place, domy, wille najkorzystniej kupisz i sprzedasz w spółdzielni „Czystość". Czyżby chodziło o podkreślenie, że będzie to czysty interes? Czy handel kamienicami jest czynnością uboczną sprzątaczek, myjących okna, czy może na odwrót?

Osobne kategorie stanowią nekrologi, ogłoszenia o rozprawach doktorskich, o wystawieniu na licytację. Towarzysza Teofila Brzusia żałuje rada zakładowa, świętej pamięci Teofila Brzusia opłakuje żona, do obejrzenia jest pół domu i ćwierć stodoły wraz z zaprowadzoną hodowlą kaczek w jakiejś Wólce czy Męce, niecałe osiem kilometrów od autobusu. Rzeczowo, krótko, bez polotu. Polot zdarzyć się może w matrymonialnych. Będzie tam czasem trochę poezji, nie tyle jednak, co w króciutkim ogłoszeniu pewnego dziennika paryskiego sprzed lat dwudziestu, w rubryczce, która zastępowała zakochanym stanu zamężnego pocztę, gońców, dziewosłębów i poste-restante: „Recu ton lettre. Et quand toi?"

Otrzymałem Twój list. A kiedy Ciebie?

Dyskretnie, tanio – bo krótko – i z jakim wdziękiem! To nie to, co „Andrzej Ptak zgubił legitymację związku wędkarskiego". Szukajmy jednak cierpliwie dalej. Czytajmy drobne ogłoszenia, to też jest prawda o życiu, może nawet większa niż w niejednym bardzo nowoczesnym poemacie.

CWIEK

Redaguje zespół: – Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" – z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" – Łódź, Żwirki 17, Zam. 1804.VII.65. N-3